

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 3

(88) 2017

---

O przedwojennej promocji polskiego Lwowa ♦ Spotkanie Tarnopolan w Krakowie ♦ Rozmowa z Emilią Kluk ♦ Michalina Grewkowicz-Hausnerowa wspomina lwowski listopad 1918 r. ♦ Karolina Grodziska przypomina Marię Bartusównę ♦ Sławomir Gowin podąża lwowskimi śladami Hemara we Lwowie ♦ Poezja Tadeusza Śliwiaka ♦ A. Chlipalski o swojej ulicy Kadeckiej

---

## W jesiennej zadumie...

Nostalgiczna jesień niespodziewanie zastukała do naszych drzwi... Choć za oknem, gdy piszę te słowa, jeszcze słonecznie i ciepło, to za chwilę pochłoną nas pluchy, mgły, w końcu pewnie mrozy i śnieżyce. Mimo atmosferycznych niedogodności to jednak dobry czas na lekturę... Oczywiście, a może przede wszystkim – naszego kwartalnika! Ze wzruszeniem wspominam Tadeusza Krzyżewskiego i jego małżonkę, których miałem zaszczyt poznać przed laty. Na łamach tego numeru zapraszamy do lektury jednego z ostatnich chyba, opracowanego przez Andrzeja Chlipalskiego, tekstu pana Krzyżewskiego. Ze swadą opowiada autor o Związku Popierania Turystyki Miasta Lwowa, międzynarodowych kontaktach Lwowa, miasta bez kompleksów. Gdy pada słowo Kresy, na myśl przychodzi przede wszystkim Lwów, potem Wilno... Inne miasta kojarzone są zazwyczaj tylko przez ich dawnych mieszkańców. Tak jest z Tarnopolem... Założony został w 1540 r. przez hetmana wielkiego koronnego Jana Amora Tarnowskiego. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, od 1920 r. aż do 1945 r., było to miasto wojewódzkie. Mieszkańcy dawnego Tarnopola, ekspatrianci i ich dzieci, spotykają się na Zjazdach Tarnopolan już od ponad 30 lat, a w czerwcu tego roku zjechali do Krakowa. Pokłósiem ich zjazdu są ciekawe teksty. W tym numerze publikujemy trzy wystąpienia. Uwagę zwracają dwa artykuły poświęcone idei powołania Muzeum Kresowego. W ostatnich latach z taką inicjatywą wystąpił Jerzy Wrębiak, burmistrz Brzegu, oferując wspaniały lokal na Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów. Dla swej idei pozyskał poparcie środowisk kresowych z całej Polski. W Warszawie nie ma jednak woli politycznej władz państwowych, które miast wspólnego, postrzegają tylko własny – najczęściej krótkoterminowy i krótkowzroczny – interes polityczny. Władze państwowe wskazują na Lublin... Piękne miasto, i z dużym potencjałem – to prawda. A muzeum kresowego jak nie było, tak nie ma... Dobrze, że mamy takie instytucje jak Ossolineum we Wrocławiu – obchodzące jubileusz 200-lecia – czy Polską Akademię Umiejętności w Krakowie ze wspaniałą biblioteką kierowaną przez uroczą panią dyrektor – Karolinę Grodziską, która na rzecz Kresów sama przecież zdołała tak wiele. Proszę zająrzeć do jej bibliografii, a ja przypomnę tylko opasły tom *Miasto jak brylant... Księgę cytatów o Lwowie*... Prezentowany fragment wspomnień Michaliny Grekowiczowej-Hausnerowej o lwowskim listopadzie 1918 r. pochodzi z książki *Chleb dziennikarski ma smak rozmaity... Wspomnienia* opracowanej przez panią Karolinę. Odważną postacią, która dla Kresów poświęciła chyba wszystko, jest Sławomir Gowin, który na łamach naszego kwartalnika w *Szkatulce na serce* opowiada o lwowskim czasie Mariana Hemara, odkrywając prawdziwe miejsce jego urodzenia. Dziękując autorom za ich wspaniałe teksty, wszak bez nich nasz kwartalnik by nie istniał, składam niski ukłon w stronę Państwa Czytelników. Ileż miłych i przyjaznych listów, telefonów i słów pocieszenia pod adresem naszego pisma do nas dotarło! Wszystkim dziękuję bardzo! Szczególne podziękowania kieruję w stronę naszych mecenasów, którzy zechcieli na rzecz pisma przekazać środki finansowe. Jesteśmy bardzo wdzięczni! Wielkie dzięki!

Życząc Państwu miłej lektury, prosimy o listy, informacje na temat wydarzeń poświęconych Kresom, jakie odbywają się w Waszych miastach, miasteczkach.

Janusz M. Paluch

## Dla propagandy polskiego Lwowa

**D**rodzy Bracia Semperfidelisy! Wszystkich zrzeszonych w Kołach Lwowian na całym świecie i sympatyków naszego Miasta zaciekawi zapewne, gdzie i kiedy powstały pierwsze Koła Lwowian, których zadaniem była służba słowem, drukiem i uczynkiem na rzecz ochrony dóbr i kultury, sławy historycznej oraz polskości Lwiego Grodu. Otóż chronologicznie pierwsze Koło Lwowian powstało... w Warszawie, potem w Chicago, a zorganizowaniu trzeciego – Koła Sympatyków Lwowa w Berlinie przeszkodziła II wojna światowa!

Tworzenie takich kół było przed wojną fragmentem szerszej, zorganizowanej akcji popularyzacyjnej związanej z rozwojem ruchu turystycznego oraz przejawem walki o szybszy rozwój miasta i zdobycie dla niego sympatyków zarówno w kraju, jak i za granicą. W tym celu, poza już istniejącymi instytucjami tradycyjnie zajmującymi się ruchem turystycznym, do których należały Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajo-

znawcze w zakresie zwiedzania kraju oraz Polskie Biuro Podróży „Orbis” zajmujące się sprzedażą biletów kolejowych i organizacją wycieczek zagranicznych, utworzono we Lwowie pod koniec 1937 r. Związek Popierania Turystyki Miasta Lwowa z oddzielnym biurem przy ul. Kilińskiego. Związek powołany został dzięki inicjatywie Zarządu Miasta i Izby Przemysłowo-Handlowej, przy poparciu finansowym Krajowej Ligi Popierania Turystyki, i miał za zadanie praktyczne przetworzenie deklaratywnego miłośnictwa Lwowa w czyn przez urządzenie masowego zwiedzania miasta, organizowanie wielkich imprez zjazdowych oraz utworzenie we Lwowie regionalnej centrali turystycznej. Miał Lwów po temu wszelkie walory: najpiękniejsze położenie krajobrazowe w Polsce, bogactwo kulturalne i historyczne, stolica trzech obrządków katolickich, Targi Wschodnie, teatry z tradycją, Panoramę Raclawicką oraz świętość miasta – Cmentarz Obrońców. W najbliższej okolicy uzdrowiska tej miary



Teatr Wielki we Lwowie, grafika Ryszard Jan Czarnowski

co Morszyn, Truskawiec, Niemirów, Lubień Wielki, podmiejskie miejscowości historyczne: Żółkiew, Podhorce, Olesko; stanowisko wypadowe na Huculszczyznę, w Gorgany i Czarnohorę, Zagłębie Naftowe i na Podole.

Na czele ZPT stał z ramienia władz miejskich wiceprezydent Wiktor Chajes – Żyd wspaniały, Polak niezłomny, zmarły jako zakładnik sowieckiego okupanta w Starobielsku. W zarządzie zaś brali udział prezydent dr S. Ostrowski i dyrektor Izby PH dr M. Jasiński. W ciągu trzech lat przedwojennej działalności biura ZPT, kierowanego początkowo przez zmarłego w 1937 r. kapitana W. Todtą, obrońcę Lwowa, od r.1938 przez dr. Tadeusza Krzyżewskiego i – jako jego zastępcę Stefana Legeżyńskiego – utworzono formy pracy organizacyjnej i wydawnictwa, które stały się w pewnej mierze prototypowe dla działalności prowadzonej później przez nasze londyńskie Koło Lwowian – ale już na obczyźnie!

Wystarczy nadmienić, że tylko w 1938 r. ZPT obsłużył blisko 100 000 przyjezdnych i zwiedzających Lwów, wydał łącznie 12 tytułów wydawnictw i druków o Lwowie w nakładzie 80 000 egz. i zorganizował 28 wielkich wycieczek i zjazdów do Lwowa osobnymi pociągami. Należały do nich śląskie, wielkie wycieczki okrężne po Polsce własnymi pociągami koncernu „Wspólnota interesów”, robotników kopalni „Jaworzno”, Stalowej Woli, Polaków z USA, Niemiec, Zjazdu Zuchów, Kongresu KKO, pielgrzymki kościelne; mnóstwo wycieczek letnich, dziesiątki tysięcy zwiedzających Targi Wschodnie, Wystawę Lotniczą i Złot Sokolstwa 1938; Zjazd Legionistów z okazji 20-lecia Obrony Lwowa oraz stałe, bezpłatne wycieczki niedzielne po zabytkach i atrakcjach turystycznych naszego miasta.

Biuro, dysponujące tylko czterema stałymi pracownikami i 20-kilku przewodnikami dorywczymi, zdołało jednak ustalić i wypracować ramy organizacyjne trzech wielkich zjazdów ogólnokrajowych, które stały się dorocznymi świętami wszystkich sympatyków Lwowa. Były to zjazdy: Maj we Lwowie (impieza rozrywkowo-turystyczna), Targi Wschodnie na początku września z imprezami towarzyszącymi (zjazdy typu ekonomicznego) oraz Święto Obrony Lwowa w listopadzie (impieza patriotyczna). Tę ostatnią imprezę patriotyczną przejęło godnie

i w całości Koło Lwowian w Londynie jako kulminacyjny punkt swej działalności. Tak więc w tym zakresie Koło zachowało jakby ciągłość w pracy instytucji, ugruntowanej w naszym mieście w przedwojennych latach.

Istotnym polem działania Związku było wynajdywanie, aktywizowanie współpracy i zaopatrywanie w materiały drukowane stowarzyszeń, instytucji i kół utrzymujących łączność ze Lwowem, redagowanie i wydawanie plakatów turystycznych, przewodników (w r.1939 ukazał się w 4 językach kolorowy przewodnik *Droga turysty po Lwowie*), urządzanie konkursów fotograficznych wydobywających piękno architektoniczne miasta, tworzenie bazy turystycznej – hotele, kwatery i noclegi; przemysł pamiątkarski, zaplecze gastronomiczne.

Z inicjatywy ZPT nakręcone zostały na wiosnę 1939 przez artystę fotografa M. Biłażewskiego po raz pierwszy dwa filmy krajoznawcze pt. *Lwów dawny i dzisiejszy* oraz *Lwów – miasto bohaterów*.

Wobec istniejących przed wojną tendencji centralistycznych Warszawy, gdzie najchętniej przenoszono owocnie pracujące instytucje regionalne, m.in. lwowskie, postanowiono z inicjatywy członków władz miejskich i ZPT bronić stanu posiadania Lwowa oraz rozwinąć na jego korzyść inicjatywę twórczą przez specjalne „przedstawicielstwo” lwowian zamieszkałych w stolicy. Tam więc powstało w 1933 r. pierwsze Koło Lwowian, na którego czele stanął gen. Litwinowicz, rzecznikiem propagandowym był adwokat dr Wałukiewicz, a współdziałał wydatnie w aktywizowaniu pracy i członków Koła – ówczesny poseł na Sejm dr Stefan Mękarski. Odczyty i pogadanki na zebraniach Koła wygłaszali znani lwowscy prelegenci. Ostatni, letni sezon Koła zainaugurował wyświetlany w Warszawie film krajoznawczy oraz odczyt *Łzy i uśmiechy Lwowa* T. Krzyżewskiego.

Dla pozyskiwania kontaktów zagranicznych odbywali pracownicy ZPT także i dalsze wojaże. Gdy jesienią 1938 r. Edmund Osmańczyk, ówczesny redaktor młodzieżowych pism Zw. Polaków w Niemczech, [...] wysunął propozycję zorganizowania manifestacyjnego zjazdu polskiej młodzieży z zagranicy we Lwowie jako najbar dziej polskim mieście, bawił na jego zaproszenie w Berlinie kierownik Biura ZPT celem przeprowadzenia akcji propagando-



Katedra we Lwowie, grafika Ryszard Jan Czarnowski

wej i ustalenia możliwości odbycia zjazdu. Proponowano wówczas termin w sierpniu 1939, przy czym warto przypomnieć hasła, pod jakimi Osmańczyk prowadził kampanię na rzecz Lwowa na łamach miesięcznika „Młody Polak w Niemczech”. Tak więc przypominał stale, że Rodłaków i Lwowiaków łączy wspólnota aktywnego walczącego patriotyzmu; Lwów – to nasze miasto, Lwów Miasto Młodzieży Polskiej z Zagranicy. Gorąco witała wówczas polska młodzież berlińska i członkowie Związku Polaków w Niemczech przedstawiciela Lwowa na spotkaniach „przy lwowskiej piosence” i wspomnieniach z wycieczek do „miasta łez i uśmiechów”. Na zawsze też zapadły w serca obecnych na tych zebraniach twarde słowa prezesa Polaków niemieckich dr. J. Kaczmarka, zmarłego niedawno w USA: *... Jesteśmy i pozostaniemy tutaj tymi, dla których zawsze piękniej pachnieć będzie polskie gówno niż niemiecki kwiatek...*

Zjazd nie odbył się, przeszkodziła temu wojna. Wojenne przyczyny sprawiły, że zgasało Ognisko Lwowian zapoczątkowane w Chicago przez lwowiankę Anielę Wójcik, odrodziło się jednak po wojnie jako Koło

Lwowian nie tylko w Chicago, lecz również w Kalifornii oraz w innych krajach.

\* \* \*

Poważnym osiągnięciem wydawniczym ZPT było stworzenie i ugruntowanie własnego periodyku pt. „Turysta we Lwowie”, który ukazywał się jako miesięcznik w latach 1930–1939. Pismo rozchodziło się w nakładzie 5000 egz. nie tylko wśród sympatyków Związku – lecz również kolportowane było w kioskach „Ruchu”, na dworcach kolejowych i w miejscowościach, gdzie organizowano zjazdy. Życie czasopisma było krótkie, ale zdołało ono skupić w tym czasie wiele cennych piór i nazwisk entuzjastów Lwowa, do dziś niezapomnianych i znaczących w historii naszego miasta. Oto kilkanaście wątków z bogatej tematyki, z jakiej korzystali autorzy współpracujący z redakcją czasopisma: na tematy związane z historią i zabytkami Lwowa pisali stale dr T. Krzyżewski, dr Z. Morwitz i dr S. Legeżyński – oprowadzając równocześnie gości po starych murach i cudownościach miasta; bałakiem zabawiali wszystkich Szczepko i Tońko – witając osobiście wielkie wycieczki już na

dworcem głównym, przy czym zawsze stroili gości na właściwą nutę, wywołując salwy śmiechu dosadnymi powiedzeniami i tą wielką miłością do miasta, o której Szczepko mówi *Tak czego ten Lwów kocham, że niech go cholera weźmi...* (Ostatni dialog Szczepka i Tońka drukowany niegdyś na łamach „Turysty” ukazał się również w Biuletynie K. Lw. nr 31, s. 89–91). Literaci i naukowcy opisywali walory Lwowa każdy po swojemu: kpt lotnictwa Janusz Meissner prowadził nas na apel poległych, jaki odbywał się podczas Zaduszek na Cmentarzu Obrońców, by jeszcze raz przypomnieć światu nazwiska bohaterów amerykańskich, lotników z eskadry majora Faunt-le Roy, którzy polegli w 1920 r. w walce z bolszewikami: G. Graves, A. Kelly, Mc Callum... Ślad po nich zaginął całkowicie w rozbitych czerepach Cmentarza Obrońców!... Gustaw Morcinek – pisarz górników, milczący wielbiciel najmłodszych obrońców Lwowa, z dalekiego Śląska opiewał sławę bezimiennych, tych, którym przyznał na użytek swojej dzielnicy miano *najfajniejszych karlusów*; K. Makuszyński całą litanię wyśpiewał na cześć ukochanych mikrusów, co ze strachem szli, ale z odwagą ginęli za miasto rodzinne; S. Wasylewski z odległego Poznania opisywał niezapomniane wdzięki przyrody lwowskiej, której słodką osobliwością jest czerecha kleparowska, owa znana w świecie *Griotte de Kleparow*; gdzie pleni się zwycięsko barwny *floks perennis* i gdzie nawet tubylcza żabka nosi przydomek „śmieszki”! – I jak rzadko u Wasylewskiego, sięga on nawet do wiersza, by opisać stubarwną szatę kwiecistego Lwowa:

Oto cudnie barwista klombów lwowskich  
szata,

gdzie jeno spojrzeć...

Lobelie stoją tłumnie na rabatach

Rosa się błyszczczy na gladiolów klingach,

Storczyki pachną pod Brzuchowicami;

W zaczarowanym królestwie Roehrinea

Smugi zapachów wędrują za nami...

Znakomity miłośnik renesansu, wśród najbliższych zwany dobrodusznie „Pempusiem” – prof. Stanisław Łempicki – zarazem głęboki znawca charakteru i temperamentu lwowskiego, uważa przede wszystkim ludzi oraz wytworzoną przez nich atmosferę, ową

„duszę lwowską” – za najcenniejszą „wartość eksportową” Lwowa. Tak ją też opisuje:

We Lwowie ludzie rodzą się i żyją jacyś inni, swoi, tak zwani „lwowscy ludzie”. Od arystokraty do batiara, od hrabiego po pana Stroncica aż do Szczepka i Tońka – ma ten rdzenny lwowianin jakiś specjalny „panie tego” charakter... Dusza lwowska, zamieszana w gościnności, muzyce, piosence ulicznej i w jakimś niedzisiejszym romantyzmie, krąży po ulicach Lwowa i powoduje nastrój i ruch, ku którym śmieją się oczy przybysza. Dusza lwowska, szastająca się po lokalach, pchająca się na mecze, rozgadana w knajpce, lśniąca kokieterią i dyskretnym uśmiechem kobiet w teatrze i kawiarni, przechadzająca się w kolorowej haftowanej czapeczce po Akademickiej ulicy, skłonna do awantury i do gapiostwa, kłócząca się o politykę i kierunki literackie – ta właśnie dusza sprawia, że obcy człowiek czuje się we Lwowie za godzinę tak, jakby się tu urodził i z całą „Wesołą Falą” był po ojcu i matce spokrewniony.

Najzarliwszą jednak tęsknotą przepojone listy nadsyłał nam z odległego Wilna Mieczysław Limanowski, geolog i geograf, współtwórca teatru „Reduta”, a potem profesor Uniwersytetu S. Batorego i właśnie jego listem, wskrzeszającym tęcza wizję Rynku lwowskiego chcemy zakończyć to wspomnienie o przedwojennych entuzjastach i miłośnikach Lwowa.

[brak tego fragmentu].

PS. I co nam zostało z tych lat, cni Bra-cia Semperfidelisy?... Ot dobry żart, prawie lwowski:

Breżniew przyjął na osobistej audjencji aktorkę Brigitte Bardot. Tak mu się spodobała, że powiada do niej:

Wy taka urocza, choroszaja kobieta, że co tylko zapragniecie, to ja gotów zrobić ...

A to proszę otworzyć całkowicie zachodnie granice ZSRR!

Oj figlarka ty, figlarka! Ty by chciała, aby my zostali sami, we dwoje – ot co!...

Marzec 1979

*Powyższy tekst, ofiarowany przez Syna Autora, przechował i przygotował do druku Andrzej Chłupalski.*



Wizualizacja Muzeum Kultury i Dziedzictwa Kresów w Brzegu

**Burmistrz Brzegu Jerzy Wrebiak**

# Utwórzmy w Brzegu Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów

**B**rzeg, miasto w zachodniej części Polski, to wyjątkowe miejsce na mapie naszego kraju. Jest swoistym tygłem, w którym mieszą się: bogata piastowska przeszłość, wielokulturowa, złożona historia Śląska i powojenne losy mieszkańców Polski. Historia napisała mieszkańcom Brzegu skomplikowaną księgę. Ścieżki życia brzeżan, niczym zwierciadło, odbijają losy wielu Polaków, którzy po zakończeniu II wojny światowej, jako obywatele dawnych Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, w wielkich ludzkich falach uchodźców, zmuszeni byli do opuszczenia swych rodzinnych stron i do wędrówki na zachód, ku nieznanym wsioom, miasteczkom i miastom.

W kwietniu 1945 r. przybyła do Brzegu pierwsza grupa Polaków, by przygotować miejsce dla nowych osiedleńców: mieszkańców Tarnopola, Lwowa, Wilna, Stanisławowa, Prus, Doliny i wielu mniejszych miejscowości. W Brzegu i okolicach znaleźli nowy dom, zostawiając za sobą przeszłość, często tragiczną, o której nie można było głośno mówić. Wraz z upadkiem w Polsce komunizmu można było przyznać się do

swoich korzeni i głośno mówić o przeszłości, także tej związanej z tzw. „tragedią wołyńską”. Dzięki zapałowi, zaangażowaniu i poświęceniu wielu osób powołano w Brzegu do życia oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, który zrzesza byłych mieszkańców lub rodziny, których protoplaści związani byli z Kresami.

Od wielu lat w Polsce podejmowany jest temat miejsca, w którym możliwe byłoby badanie i upamiętnienie powojennych losów tych Polaków, którzy musieli opuścić swe rodzinne strony i osiedlić się na tzw. Ziemiach Zachodnich. Miejsca utrwalającego pamięć i dziedzictwo Kresów. Jesteśmy przekonani, że nasze miasto – Brzeg może stać się takim miejscem. Od dłuższego czasu czynimy starania, by zainteresować odpowiednie władze i osoby decyzyjne powołaniem Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów w Brzegu. W ostatnim czasie naszą formułę pragniemy poszerzyć o utworzenie również Domu Polonii. Nasze miasto dysponuje obiektem, który mógłby stać się odpowiednią siedzibą do powstania ww. instytucji. Mamy tu na myśli gmach dawnego



piastowskiego *Gimnasium Illustre*, zwanego też Gimnazjum Piastowskim. Obiekt, którego wartość wraz z przyległym terenem szacuje się na około 10 milionów złotych, zlokalizowany jest w bezpośrednim sąsiedztwie Zamku Piastów Śląskich – dawnej siedzibie książęcego rodu, tak ważnego dla dziejów Polski. Gimnazjum wzniesiono w latach 1564–1569 z inicjatywy księcia brzeskiego Jerzego II Piasta przez włoskiego architekta Jakuba Parra. Może być godnym miejscem do organizacji Muzeum Kresów i Domu Polonii w Brzegu. Utworzenie takiej placówki w gmachu, który przez stulecia pełnił rolę edukacyjną, dobrze wpisze się w logikę przedsięwzięcia. Dawne gimnazjum było miejscem kształcenia na wysokim poziomie. Jego absolwenci studiowali w Krakowie, Pradze,olonii. To w tej szkole w bogatych zbiorach bibliotecznych przechowywany był m.in. Kodeks Lubiński. Nawiązując do tradycji gmachu chcemy, by Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów w Brzegu miało wymiar nie tylko dokumentujący i badawczy, ale również edukacyjny. Ucząc o Kresach, wskazywałoby młodym pokoleniom wartości nieprzemijające, zaszczerpiałoby w młodych Polakach miłość do Ojczyzny.

Brzeg to miasto Kresowiaków. Wspieramy każdą inicjatywę, która odwołuje się do tradycji i historii Kresów. Mamy nadzieję, że właśnie tu, w środowisku mocno związanym z Kresami, będzie możliwe utworzenie placówki, która na mapie Polski będzie ważnym miejscem dla wszystkich Polaków, w tym dawnych mieszkańców byłych Kresów II Rzeczypospolitej i ich potomków. Uzmysłowi nowym pokoleniom Polaków i światu wartość, wagę i znaczenie Kresów w budowaniu polskich tradycji, kultury i tożsamo-

ści. Koncepcja architektoniczno-plastyczna Muzeum Kultury i Dziedzictwa Kresów w Brzegu przygotowana została przez pracownię Nizio Design – Mirosława Nizio (autor m.in. Muzeum Powstania Warszawskiego). Przede wszystkim dąży do funkcjonalnego wykorzystania budynku dawnego brzeskiego Gimnazjum Piastowskiego (wzniesionego w 1569 r.), przy zachowaniu

istotnych elementów zabytkowych jego architektury. W aranżacji wnętrza celem jest wykreowanie nowej architektury, klimatem i stylistyką nawiązującej do Kresów, w celu stworzenia scenografii mogącej w sposób wymowny przekazać tematykę związaną z Kresami. Na zewnątrz celem architektoniczno-plastycznej koncepcji było stworzenie wizualnej i do pewnego stopnia abstrakcyjnej syntezy Kresów, w harmonijnym powiązaniu z architekturą i zielenią zabytkowego renesansowego miasta, poprzez harmonię elementów architektury i zieleni. Zgodnie z założeniami wyznaczającymi cele prac nad projektem, Muzeum w Brzegu ma być miejscem prezentacji fenomenu Kresów: ich historii, kultury, przyrody. Ma być również placówką oświatową i badawczą. Istotą Kresów było spotkanie kultury różnych narodów dawnej Rzeczypospolitej wraz z ich językiem, sztuką i religią. To pragniemy pokazać w Brzegu. Owo spotkanie zaowocowało powstaniem mozaiki, która charakteryzowała się występowaniem etnicznych i kulturowych wysp, przemieszanych na rozległych kresowych przestrzeniach. Istotę niezwyklego fenomenu Kresów streszcza motto mogące stanowić tytuł ekspozycji Muzeum poświęconego Kresom: „Gdzie wschód spotyka zachód”. Towarzyszący Muzeum Dom Polonii dawałby możliwość organizacji spotkań z tymi, którzy pozostali poza współczesnymi granicami Polski, a wciąż czują przynależność do naszego Narodu i poszukują z nim stałego kontaktu.

Równoległe z pracami koncepcyjnymi rozpoczęliśmy działania w celu uzyskania jak najszerszego poparcia ze strony środowisk kresowych, naukowców zajmujących się Kresami oraz poparcia ze strony władz samorządowych województw opolskiego



i dolnośląskiego. Ideę utworzenia Muzeum poparli: wojewoda opolski Adrian Czubak, wojewoda dolnośląski Paweł Hreniak, prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja, Anna Maria Anders – senator RP, Alicja Zbyryt – prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oddział w Brzegu, Witold Listowski – prezes Stowarzyszenia Kresowian w Kędzierzynie-Koźlu, Jan Skalski – prezes Światowego Kongresu Kresowian, Patryk Jaki – poseł na Sejm RP, wiceminister sprawiedliwości, Antoni Duda – poseł na Sejm RP, Bartłomiej Stawiarski – poseł na Sejm RP, posłowie Prawa i Sprawiedliwości oraz Kukiz 15 z terenu województw opolskiego i dolnośląskiego, prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, starosta brzeski – Maciej Stefański, starosta łański – Zdzisław Brezdeń, Romuald Nowak z Muzeum Narodowego we Wrocławiu oraz władze Stowarzyszenia Gmin i Powiatów Aglomeracji Wrocławskiej, które podjęły w tej sprawie stosowną uchwałę.

Nasza inicjatywa spotkała się z wielką przychylnością ze strony duchowieństwa Archidiecezji Wrocławskiej (Brzeg należy do struktur diecezji wrocławskiej). Wielkimi orędownikami powstania w Brzegu Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów są Jego Eminencja ks. Henryk kardynał Gulbinowicz – urodzony w Wilnie arcybiskup senior Archidiecezji Wrocławskiej oraz Jego Eminencja ks. abp Józef Kupny – metropolita wrocławski. W sprawę zaangażowany jest również wieloletni kapelan środowisk kresowych ks. prałat Bolesław Robaczek. Poparcie dla idei powołania w Brzegu Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów stosownymi uchwałami wyraziły: Światowy Kongres Kresowian (podczas zjazdu w Częstochowie w lipcu 2016 r.) oraz delegaci środowisk kresowych, biorący udział w Krajowym Zjeździe Sprawozdawczo-Wyborczym Delegatów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-



-Wschodnich we Wrocławiu we wrześniu 2016 r. oraz w tegorocznym Zjeździe Tarnopolan zorganizowanym w Krakowie. O naszych zamierzeniach informowani byli już Pan Prezydent Andrzej Duda oraz minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński. Stosowna korespondencja wysłana została również do Pani Premier Beaty Szydło.

Koszt utworzenia muzeum to kwota 40 mln złotych. Gmina Brzeg wystąpiła z wnioskiem o środki na realizację zadania do Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Opolskiego. Do zrealizowania zadania niezbędna byłaby dotacja Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wkład Gminy Brzeg to przekazanie budynku wraz z przyległościami o łącznej szacunkowej wartości 10 mln złotych.

Mamy nadzieję, że organizacja w Brzegu Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów wraz z towarzyszącym mu Domem Polonii będzie właściwą odpowiedzią na rozbrzmiewający od wielu już, wręcz dziesiątek lat apel o utworzeniu w naszym kraju placówki, która w godny i należyty sposób opowie o Kresach, ich przeszłości i ludziach, którzy tworzyli wielkość naszego Narodu.



# Kresy wołają o pamięć!

## W sprawie powołania naukowego Instytutu Kresów Wschodnich

**D**obiegają nas informacje o podejmowanych wysiłkach w celu powołania do istnienia Muzeum Kresów Wschodnich. Jeden z projektów dotyczy Brzegu nad Odrą – tamtejszy burmistrz chce zorganizować rzeczne muzeum w zabytkowym gmachu piastowskiego gimnazjum założonego w roku 1519. Bezpośrednim projektantem jest twórca wystawy w Muzeum Powstania Warszawskiego znajdującego się w stolicy. Wydaje się więc, że chodzi już tylko o pieniądze, o które walczy burmistrz Brzegu. Z drugiej jednak strony pojawiła się i inna koncepcja umiejscowienia takiego muzeum w Lublinie, mieście o symbolicznym znaczeniu dla relacji Polski z jej wschodnimi sąsiadami, gdzie miejsce miała w roku 1569 Unia Lubelska. Rzecznikiem takiego rozwiązania są nie tylko miejscowe czynniki uniwersyteckie, ale i sam Jarosław Kaczyński. Jak donoszą media muzeum byłoby umiejscowione w gmachu przy placu Unii Lubelskiej, gdzie dotychczas znajdował się Instytut Politologii UMCS. Mówi się także o Warszawie jako miejscu zakładania Muzeum Kresowego, a w internecie anonsowano nawet pomysł zlokalizowania takiej instytucji w Sejnach z tą jednak różnicą, że miałyby ona zajmować się tylko Kresami północno-wschodnimi.

Jak widać, idea doceniania znaczenia Kresów w naszych dziejach i kulturze w świadomości szerokich kręgów społecznych nabiera rozpędu pozwalając wierzyć, że zostanie w końcu zmaterializowana. Rozwój takiego zainteresowania Kresami idzie w parze z widocznym wzrostem potrzeby poznawania długo pomijanych elementów naszej historii oraz renesansem uczuć patriotycznych, co rzuca się w oczy choćby na przykładzie masowego udziału w marszach niepodległości każdego 11 listopada.

W kontekście takiego rozwoju sytuacji powstaje pytanie, czy samo muzeum wystarczy – jako jedyna instytucja, której powierzy się zajmowanie się całokształtem dziedzictwa kresowego. Muzea bowiem

na ogół zajmują się gromadzeniem eksponatów, udostępnianiem ich publiczności oraz prowadzeniem działalności edukacyjnej, a nawet wychowawczej i ideowej, o ile dotyczą problematyki szczególnie istotnej dla dziejów narodowych. A do takich należy przecież szeroko pojmowana problematyka kresowa. W zasadzie poza obrębem ich działalności pozostaje lub funkcjonuje tylko na marginesach niezmiernie ważna kwestia wieloaspektowych badań naukowych, które przyczyniałyby się do pełnej rekonstrukcji procesów dziejowych. Aby rekonstruować je w szerokim zakresie, potrzebna jest w pełni naukowa działalność interdyscyplinarna, która dopiero umożliwi uzyskanie pożądanych efektów. Jednym słowem – obok muzeum postulujemy powołanie do życia także naukowego Instytutu Kresowego (dokładna nazwa nie jest jeszcze sprecyzowana), który by podjął potrzebny trud badawczy.

Już przed paroma laty w gronie naukowców i pasjonatów problematyki kresowej powstał dokument zatytułowany „Statut Stowarzyszenia: Instytut Kresów Rzeczypospolitej”. Składa się on ze szczegółowo opracowanych 7 rozdziałów i 30 paragrafów. Przewidywanymi celami Instytutu m.in. miały być:

*obrona prawdy historycznej o dziejach Kresów Rzeczypospolitej i upowszechnianie tej prawdy w Polsce i za granicą, kultywowanie tradycji kresowej we wszystkich jej przejawach, zwłaszcza w dziedzinie kultury, badania nad zagrożeniami dla ludności polskiej zamieszkującej te ziemie dawniej i jeszcze dzisiaj oraz nad sposobami jej obrony, kontynuowanie prac badawczych nad martyrologią Polaków na wschodzie. Instytut utrzymywałby też stały kontakt z organizacjami i środowiskami polskimi na Kresach.*

*Instytut realizowałby swoje cele przez: wydawnictwa naukowe, prasę i inne środki społecznego przekazu oraz przez wydawanie własnego czasopisma naukowego, a także serii naukowych wydawnictw książ-*



Waręż, kościół św. Marka, grafika: Ryszard Jan Czarnowski

*kowych poświęconych problematyce kresowej. Korzystałyby nie tylko z pracy własnych pracowników, ale także i innych osób ze świata naukowego zatrudnionych już w innych instytucjach i działających na gruncie wielu dyscyplin naukowych.*

*Ważną czynnością byłoby także formułowanie merytorycznych raportów opartych o wiedzę naukową o stanie spraw na byłych Kresach wschodnich Rzeczypospolitej.*

Działalność taka, dodam już od siebie, byłaby prowadzona na bazie szczegółowej wiedzy naukowej i mogłaby stanowić istotne wsparcie dla bieżącej polityki polskiej. Jej funkcjonariusze bowiem często zadowolają się ogólnymi wyobrażeniami lub stereotypami wyprowadzonymi z ducha ich opcji na temat tego, co dzieje się za naszą wschodnią granicą, bez sięgania do szczegółowej wiedzy empirycznej, której niekiedy też po prostu brakuje. Przedstawiciele jednej opcji lekceważą racje innej. Gdy mówi się o koncepcji **Międzymorza**, to przecież warto by np. pokusić się o wyważoną interpretację dotyczącą tego, jak wygląda dzisiaj świadomość przeciętnego Ukraińca, Białorusina czy

Litwina i jak są oni naprawdę nastawieni do Polski i Polaków oraz w jakim kierunku następują tam ewentualne zmiany? Czy są one korzystne dla polskiego interesu narodowego czy też mogą stanowić jego zagrożenie?

Aby nie pozostać gołostownym, pozwolę sobie posłużyć się przykładem zaczerpniętym z terenu Niemiec i dotyczącym znanej mi problematyki. W ciągu ostatnich kilku lat głośna była i jest nadal książka autorstwa Thilo Sarrazina, polityka SPD, ekonomisty i demografa. Nosi ona prowokujący tytuł: *Deutschland Schaff sich ab*, co oznacza *Niemcy same się niszczą*. Autor ten analizuje na kilkuset stronach zmiany, jakie niesie ze sobą masowy napływ emigrantów, prorokując z jednej strony etniczną katastrofę narodu niemieckiego ze względu na mały jego przyrost naturalny przy bez porównania większym nowych przybyszów, z drugiej zaś przewiduje zanik dotychczasowej mentalności niemieckiej na skutek przemieszania się ludności i jej nieuniknionej przeciwieństwo z czasem integracji z autochtonami. O książce Sarrazina było i jest nadal bardzo głośno w Niemczech. W związku z nią odbywały

się rozmaite spotkania telewizyjne i bezpośrednio, audycje radiowe i artykuły w prasie i internecie.

Być może, że Sarrazin przewiduje proces, który w Polsce powinien być przyjmowany z dużą ciekawością, a nawet i zadowolaniem. Niewykluczone, że w ten sposób rozmyje się albo i całkiem zniknie złowrogi kształt niemczyzny, który ciążył nad polskim narodem od prawie dwustu lat. Niestety w naszym kraju nic się o tym wydawnictwie nie mówi ani nie pisze. Pozostało ono całkowicie niezauważone. A szkoda!

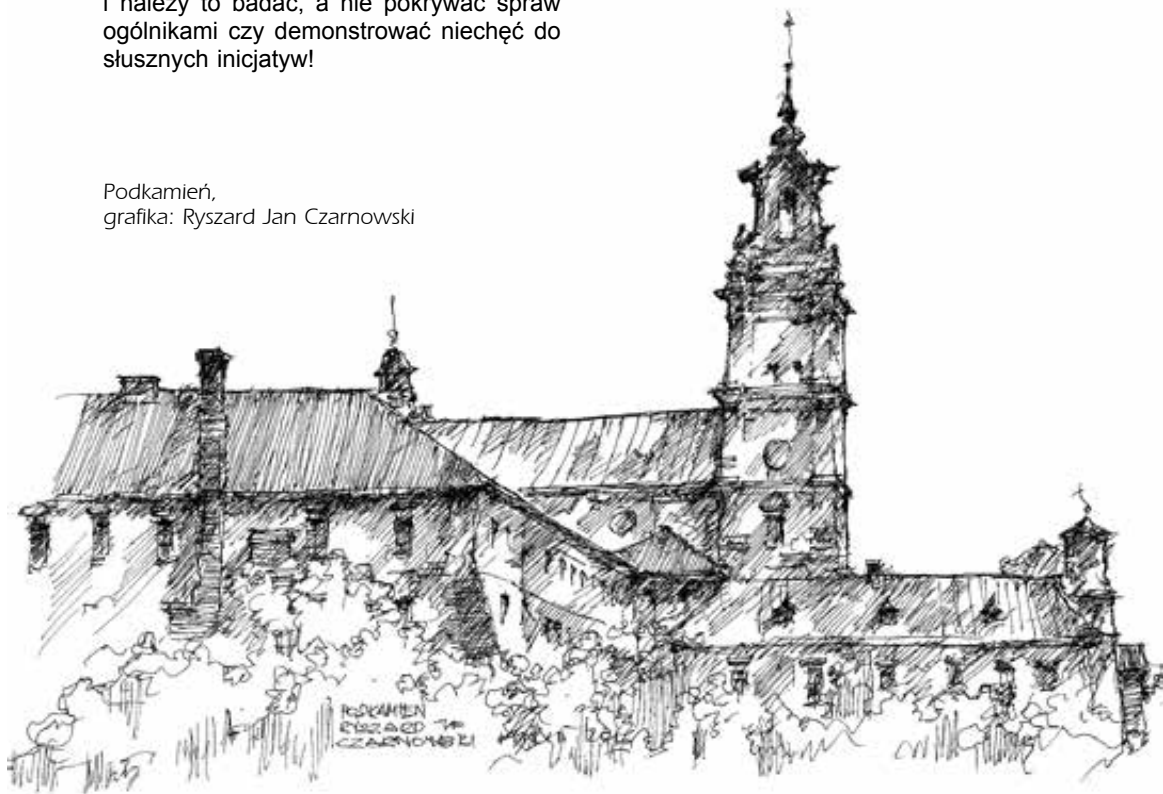
Gdy już jesteśmy przy Niemczech, to trzeba przypomnieć, że w tym kraju funkcjonuje wiele instytucji zajmujących się dawnymi wschodnimi terenami Rzeszy, które po wojnie weszły w skład Polski. Nie słychać tam o chęci ich redukcji. Natomiast jeden z radnych miasta Lublina z PO, już na wstępie, gdy zaczęły się dyskusje wokół umiejscowienia Muzeum Kresowego w tym mieście, zaczął protestować!

Pamiętajmy, że to, co dzieje się wewnątrz sąsiednich społeczności, może mieć dla nas i dla polskiej polityki wartość bardzo cenną i należy to badać, a nie pokrywać spraw ogólnikami czy demonstrować niechęć do słusznych inicjatyw!

Bardzo ważne miejsce w działalności postulowanego Instytutu powinno zająć naukowe czasopismo o charakterze interdyscyplinarnym oraz seria naukowych wydawnictw książkowych. Próby w zakresie tego ostatniego rodzaju działalności podejmował już piszący te słowa redagując 6 tomów prac zbiorowych poświęconych Kresom Wschodnim. Działalność ta jednak wygasła ze względu na odejście redaktora na emeryturę i brak odpowiedniego wsparcia finansowego, którego przedtem udzielał Uniwersytet Jagielloński.

Taki program wydawniczy powinien wypełniać zagadnienia historyczne w szerokim tego słowa znaczeniu obrazujące około 600-letnie dzieje kresów w obrębie Rzeczypospolitej. W sprawach współczesnych najwięcej miejsca powinno by się poświęcić badaniom socjologicznym oraz politologicznym. Nie można by również zapomnieć o problematyce religijnej, etnograficznej, etnicznej, językowej ujmując te ostatnie zagadnienia w skali dziejowej. Również niemało miejsca należałoby poświęcać architekturze i sztuce kresowej. Szczególnie obiekty ►

Podkamień,  
grafika: Ryszard Jan Czarnowski



**Jerzy Kapłon**

# PODOLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE

**W** 1925 r. w Tarnopolu powstało niezwykle stowarzyszenie, pierwiej pod nazwą Wojewódzkie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, niebawem zmienioną na Podolskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Przez krótki okres – do wybuchu II wojny światowej, będąc głównym animatorem ruchu turystycznego i promocji walorów turystycznych Podola, zrealizowało dużo ważnych projektów związanych z tą tematyką, a także w dziedzinie ochrony zabytków. Było to możliwe dzięki niezwykle zaangażowaniu polskiej inteligencji, z wybitną postacią – Tomaszem Kunzekiem na czele.

## KALENDARIUM

### 1925

■ 21 lutego 1925 r. Rozporządzenie Ministra Robót Publicznych LXI – 183 w sprawie powołania Międzyministerialnej Komisji Turystycznej. W skład wchodzi: delegaci Ministerstwa Robót Publicznych, Kolei, Oświaty i Wyznań, Handlu i Przemysłu, Spraw Zagranicznych, Spraw Wewnętrznych, Generalnej Dyrekcji Służby Zdrowia, Generalnej Dyrekcji Poczty i Telegrafu

■ 25 marca 1925 r. Komisja Międzyministerialna na swoim posiedzeniu powołała

Wojewódzkie Komisje Turystyczne, w tym w Tarnopolu, rozpoczynając działania mające na celu powstanie regionalnych stowarzyszeń promujących region i turystykę

■ 2 lipca 1925 r. zebrania grupy osób pragnących założyć stowarzyszenie. Założenie stowarzyszenia o nazwie Wojewódzkie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze z siedzibą w Tarnopolu

■ 20 października 1925 r. pierwsze Walne Zgromadzenie. Zarząd: Tomasz Kunzek – prezes, zastępcy prezesa: pułkownik Józef Gigiel, nadkomisarz Kołodziej, prof. Józef Schwartz, Henryk Śląski – sekretarz, skarbnik Jan Kurzeja, którzy tworzyli prezydium, prócz nich 12 członków. Przewodniczącym Sekcji Wycieczkowej został Stefan Juzwa, a Propagandowej Ignacy Czyrski

### 1926

■ pierwsza zbiorowa wycieczka Towarzystwa do miejscowości Płotycz ok. 8 km od Tarnopola

■ 182 członków stowarzyszenia w Tarnopolu, 308 w oddziałach terenowych w miejscowościach: Borszczów, Zaleszczyki, Złoczów, Trembowla, Przemyślany, Buczacz, Czortków, Podhajce, Brzeżany, Zborów, Kopyczyńce, Radziechów, Zbaraż, Skalał, Brody, Kamionka

► architektoniczne to widoczni świadkowie przeszłości i świadectwa polskości na Kresach. Również pożądana byłaby refleksja nad całokształtem mechanizmów kulturowych, która powinna by reasumować fakty opracowywane przez dziedziny bardziej szczegółowe. Nie można też zapomnieć o biografistyce, dziedzinie może najbardziej przystępnej i w sposób dość łatwo przyswajalnej obrazującej działalność ważnych osób, pisarzy, polityków, duchownych, przy-

wódców i innych. Biografistyka dobrze służy poznawaniu dziejów i kultury bliskiego nam kraju. A o to przecież chodzi.

Kończąc chciałbym zaapelować: podejmiemy i my wysiłki na rzecz utworzenia naukowego Instytutu Kresowego. Zwróćmy się do szerszej publiczności akademickiej, i nie tylko, z apelem o podejmowanie tematyki kresowej oraz zgłaszanie udziału w naszych wysiłkach celem realizacji zasygnalizowanej tu idei.

## 1927

- 26 kwietnia – 3 lipca 1927 r. „Wystawa krajobrazów i zabytków województwa tarnopolskiego” – ok. 400 fotografii, wystawa kilkudziesięciu kilimów
- 25 czerwca 1927 r. Walne Zgromadzenie, – wydanie przez Oddział w Złoczowie „Monografii powiatu złoczowskiego” autorstwa inż. Józefa Żmigrodzkiego w nakładzie 2000 egzemplarzy (80 s., mapa powiatu złoczowskiego, 6 ilustracji)
- przekazanie przez wojewodę tarnopolskiego Towarzystwu funkcji „towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości”

## 1928

- 5 lutego 1928 r. utworzenie w Warszawie Związku Polskich Towarzystw Turystycznych. WTTK członkiem założycielem
- 31 marca 1928 r. II Walne Zgromadzenie Towarzystwa
- czerwiec 1928 r. wydanie „Przewodnika po województwie tarnopolskim” w nakładzie 5600 szt. (176 s., 70 ilustracji, mapa). Zawarto w nim doświadczenia w organizacji ruchu turystycznego, a także ochrony i ewidencji zabytków. Wstęp historyczny, przewodnik ukazywał to, co zdaniem autorów było w województwie najciekawsze i godne zwiedzenia
- rozpoczęcie przez Koło w Krzywczu, prowadzone przez Lazara Melzera, z poparciem starosty Ludwika Schreibera (prezesa Oddziału w Borszczowie) prac związanych z udostępnianiem do zwiedzenia jaskiń gipsowych w Krzywczu i odnowieniem zamku

## 1928–1930

- (w kilkuletnich przedziałach czasowych będą podawane informacje o wydarzeniach, które miały charakter wieloletni lub nie jest możliwe przypisanie ich do konkretnego roku)
- Oddział w Złoczowie rozpoczął akcję opieki nad zabytkami, w tym nad zamkiem króla Jana Sobieskiego. Oddział w Trembowli – pod przewodnictwem Michała Gargasza – urządził wycieczki, odczyty oświatowe. Oddział w Przemyslanach – pod przewodnictwem Edwarda Schutta – przeprowadził akcję inwentaryzacji zabytków powiatu, a Oddział w Buczaczu – pod przewodnictwem

Wojciecha Walzera – zakupił 3 łodzie i urządził wycieczki Dniestrem, wykonał również rejestrację zabytków. Oddział w Czortkowie – pod przewodnictwem dra Krzysia – urządził wycieczki, Oddział w Podhajcach – pod przewodnictwem starosty Stanisława Olszewskiego – kupił aparat fotograficzny dla dokumentowania stanu zabytków. Oddział w Brzeżanach – pod przewodnictwem burmistrza Stanisława Wiszniewskiego – urządził wycieczki podobnie jak Oddział w Zborowie – pod przewodnictwem Manuela Mokrzyckiego, a także rozpoczął akcję zbierania eksponatów do muzeum regionalnego. Oddział w Kopyczyńcach – pod przewodnictwem komisarza rządowego miasta Józefa Kellera – urządził wycieczki, Oddział w Radziechowie – pod przewodnictwem Rudolfa Stenzla – przeprowadził konserwację zabytków. Oddział w Zbarażu – pod przewodnictwem Tomasza Żebrowskiego – prócz wycieczek urządził odczyty, a Oddział w Skałacie pod przewodnictwem Mikołaja Bogdanowicza rozpoczął starania o budowę schroniska w Miodoborach

## 1929

- wydanie przez Oddział w Złoczowie dzieła o charakterze historyczno-naukowym autorstwa dr Łucji Charewiczowej pt. „Dzieje miasta Złoczowa” (na 220 stronach liczne ryciny)
- ponad 2000 osób zwiedziło jaskinie w Krzywczu, w których dla ułatwienia zwiedzania poszerzono wejście i niektóre chodniki, udostępniając do zwiedzania 4 km tras i 6 wielkich sal

## 1930–1931

- uruchomienie przez PTTK kursów przewodnickich zakończonych uzyskaniem uprawnień przewodnickich po zdaniu egzaminów
- umieszczenie na dworcach kolejowych w województwie tarnopolskim map turystycznych zaopatrzonych w szereg informacji turystycznych początkiem budowy sieci szlaków turystycznych
- wydanie widokówek Tarnopola w nakładzie 30000 sztuk
- wydanie albumu „Zamki Podola” w nakładzie 1000 egzemplarzy

## 1930

■ 1 marca 1930 r. walne zgromadzenie, powołanie nowych sekcji: 1) propagandy i prasy, pod kierownictwem Tadeusza Woytowicza, 2) wystawowa, pod kierownictwem Ottona Kochmana, 3) odczytowa, pod kierownictwem ks. Jana Roga, 4) wycieczkowa, pod kierownictwem Stefana Juzwy, 5) ochrony zabytków, pod kierownictwem Władysława Kucharskiego

■ 18 marca 1930 r. zatwierdzenie statutu przez wojewodę tarnopolskiego

■ 6 lipca – 10 sierpnia Międzynarodowa Wystawa Komunikacji i Turystyki w Poznaniu. Towarzystwo głównym organizatorem wystawy promującej Podole

■ księgozbiór w Centrali Towarzystwa liczył 100 pozycji o treści turystycznej związanej z regionem, ok. 500 zdjęć z regionu i 90 klisz przygotowanych do druku

■ utworzenie schroniska w baszcie z XVII w. zachowanej w zamku w Krzywczu

■ powierzenie Towarzystwu funkcji Wojewódzkiej Delegatury Państwowej Rady Ochrony Przyrody

■ przygotowanie dokumentacji schroniska PTTK w gminie Ostapie

■ wydanie przewodnika „Nasze Podole – opis krajoznawczo-turystyczny województwa tarnopolskiego” autorstwa Tomasza Kunzeka (21 s.) w nakładzie 3000 egzemplarzy

■ wydanie przez PTTK folderu „Zwiedzajcie Podole” w nakładzie 30 000 egzemplarzy w języku polskim, francuskim, angielskim i niemieckim, prospekty zawierają 10 zdjęć i mapę orientacyjną województwa

■ wydanie przez Oddział PTTK w Trembowli „Przewodnika po Trembowli” autorstwa Kazimierza Missony (25 s.)

## 1931–1934

■ dalsza eksploracja i zwiększenie zakresu udostępniania jaskiń w Krzywczu, wybudowanie ścieżki od podnóża wzgórza do wejścia do groty, ustawienie ławek

■ wykończenie parteru domu wycieczkowego w Zaleszczykach, budowa schodów na pierwsze piętro

■ rozpoczęcie budowy schroniska dla pasa Miodoborów w Kręciłowie na gruncie дарowanym przez właściciela dóbr Adolfa Kimelmana i doprowadzenie budowy pod dach

■ staraniem Oddziału w Trembowli zabezpieczono ruiny zamku trembowlańskiego, w baszcie powstało muzeum zamkowe oraz utworzono letni bufet, na brzegu rzeki Gniezny zorganizowano plażę i kąpielisko jako dochodową inwestycję Oddziału, przystąpiono do konserwacji ruin monasteru w Podgórzanach

## 1931

■ 30 kwietnia – walne zgromadzenie Towarzystwa – zmiana nazwy na Podolskie Towarzystwo-Turystyczno-Krajoznawcze

■ lato 1931 r. – oddanie do eksploatacji parteru schroniska w Zaleszczykach

■ wydanie nakładem Oddziału PTTK w Buczaczu „Przewodnika po powiecie buczackim” autorstwa Wincentego Urbańskiego (33 s., liczne ilustracje)

■ wydanie przez Oddział PTTK w Czortkowie „Przewodnika po Czortkowie i okolicy” autorstwa Józefa Opackiego (69 s., 17 ilustracji)

■ wydanie przez Oddział PTTK w Zaleszczykach przewodnika pt. „Zaleszczyki i okolica” (71 s., liczne ilustracje)

■ wydanie staraniem PTTK „Planu miasta Tarnopola ze spisem ulic, budynków i rysem historycznym”, podziałka 1:7500

■ uruchomienie przez Oddział w Zaleszczykach komunikacji łodziami i motorówkami po Dniestrze

## 1932

■ Wydział Towarzystwa powołał w 1932 r. Sekcję kół krajoznawczych młodzieży – pod przewodnictwem dyrektora gimnazjum Dominika Pytla

■ przyjęcie uczestników odbywającego się we Lwowie zjazdu Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych

■ udział w Wołyńskiej Wystawie Krajoznawczej

## 1933

■ 17 września – organizacja Zjazdu Krajoznawczego w Olesku. Odbył się w sali kolumnowej zamku królewskiego. Uczestniczyli w nim przedstawiciele organizacji turystycznych, referenci turystyki Urzędów Wojewódzkich oraz delegaci Okręgowej Dyrekcji kolei

państwowych z południowo-wschodnich województw i Ministerstwa Komunikacji. Zjazd podjął 28 uchwał w sprawie rozwoju turystyki na tych terenach. Uchwalono m.in. apel do Ministerstwa Komunikacji o organizowanie na tereny Podola pociągów turystycznych oraz wprowadzenie ponownie zniżek na bilety do miejscowości turystycznych

- wydanie przez PTTK „Przewodnika po jaskiniach w Krzywczu” autorstwa Wiktora Nechaya (31 s., 8 ilustracji, szkic sytuacyjny)
- wydanie przez PTTK „Słownika nazw geograficznych” autorstwa Józefa Haliczera ze wstępem Eugeniusza Romera
- wydanie planu wycieczek po województwie tarnopolskim
- wydanie serii widokówek dotyczących Oleska i Podhorzec w związku z rokiem Sobieskiego
- utworzenie Kół w Olesku, Podwołyckach i Ponikwie
- edycja odznak członkowskich wyobrażających złote słońce promieniste, emaliowane w kolorach czerwonym i niebieskim z napisem „Podole” i stylizowanym emblematem PTTK
- na koniec roku Towarzystwo liczyło 1630 członków i była to najwyższa liczba w jego historii

## 1934

- 30 maja walne zgromadzenie PTTK
- 7 października 1934 r. Zjazd Przewodniczących i Delegatów Oddziałów i Kół PTTK – m.in. dyskusja nt. połączenia z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym (powstałym w 1906 r. w Warszawie)
- wydanie przez Oddział PTTK w Zbarażu przewodnika „Zbaraż w przeszłości i teraźniejszości” autorstwa Henryka Śląskiego (70 s., 14 ilustracji)

## 1935

- 12 maja poświęcenie schroniska Oddziału PTTK w Czortkowie w odnowionych dwóch salach zamku. Obiekt wyposażony w 10 łóżek, 20 koców, 10 poduszek i meble. W nim także biuro informacyjne, ekspozycja zbiorów muzealnych, biblioteka i pracownia fotograficzna
- uruchomienie schroniska w Zaleszczykach. Obiekt piętrowy, wyposażony w insta-

lację elektryczną i wodociągową, wewnętrzne łazienki, telefon, kuchnię. 40 miejsc noclegowych i Muzeum Krajoznawcze

- wydanie nakładem Sekcji Popierania Turystyki PTTK przewodnika „Ziemia Podolska” autorstwa Tomasza Kunzeka (48 s., 26 ilustracji i mapka)
- wydanie pozycji „Dziesięciolecie istnienia i działalności Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego” autorstwa Tomasza Kunzeka (48 s., 17 ilustracji i 1 planik)
- powstanie sekcji filatelistycznej i popierania turystyki
- uzyskanie własnego lokalu w Tarnopolu przy ulicy Kopernika 2
- przystąpienie do konserwacji ruin zamku w Kudryńcach, obiekt podarowany na rzecz Towarzystwa przez właściciela dóbr Józefa Bartfelda wraz z częścią góry zamkowej

## 1936

- styczeń – rozpoczęto wydawanie miesięcznika „Znicz Podola” redagowanego w Czortkowie przez Władysława Cichockiego i Józefa Opackiego
- 7 numer „Znicza Podola” wydany we wrześniu nosił adnotację „Ilustrowany Organ Oficjalny Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego”
- 3 i 4 października 1936 r. zjazd krajoznawczy i walne zgromadzenie PTTK w Czortkowie. Tomasz Kunzek nadal prezesem PTTK, Stefan Juzwa, Józef Schwartz i Józef Opacki wiceprezesami
- powstała Sekcja Kajakowa, będąca jednocześnie Klubem Polskiego Związku Kajakowego; na zebraniu 26 listopada w Tarnopolu postanowiono wybudować przystań oraz oznakować szlaki wodne. Ustalono zasady udostępniania rzek Podola dla turystów
- wydanie „Przewodnika po województwie tarnopolskim” autorstwa Tomasza Kunzeka (303 s., 82 ilustracje, plan Tarnopola Józefa Haliczera oraz mapa woj. tarnopolskiego)
- wydanie nakładem Oddziału PTTK w Borszczowie przewodnika „Powiat borszczowski” autorstwa Józefa Opackiego (56 s., 23 ilustracje)
- wydzierżawiono w Tarnopolu od Związku Strzeleckiego przystań, gdzie urządzono pomieszczenie do przechowywania kajaków i szatnię. Towarzystwo zakupiło 5 kajaków, namioty, sprzęt biwakowy, umożliwiono prze-



chowywanie sprzętu członków: 3 żaglówek i 8 kajaków

## 1937–1939

- powstanie Oddziałów w Bilczu Złotem i Husiatynie, łącznie funkcjonowały 22 oddziały
- wykończenie II piętra schroniska w Zaleszczykach, przejęcie od Zarządu Miasta Zaleszczyki w formie darowizny parceli nad rzeką w celu budowy przystani i schronu na kajaki
- odbudowa połowy prawego skrzydła zamkowego w Czortkowie, pertraktacje o nabycie
- uzyskanie w Krzywczu Górnym drogą darowizny od L. Melzera drugiej baszty
- w Kudryńcach zakończono konserwację ruin zamkowych
- w Bilczu Złotem uzyskano od księcia P. Sapiehy działkę z wejściem do jaskini Werteby
- w Olesku urządzono schronisko w wyremontowanym domu obok zamku
- w Uścieku Zarząd Gminy darował grunt pod budowę stacji kajakowej

## 1937

- 3 czerwca Podolskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze wykupiło od Fundacji Ubogich im. H. Sadowskiego ruiny zamku czortkowskiego. Odnowiono połowę prawego skrzydła, gdzie uzyskano 13 pokoi przeznaczonych na pomieszczenia schroniska turystycznego, biura informacyjnego, świetlicy i muzeum
- 15 grudnia powołano do życia Wojewódzką Komisję Letniskową Powiatów i Gmin Województwa Tarnopolskiego jako autonomiczną Sekcję PTTK
- za pośrednictwem Towarzystwa w 1937 r. wynajęto 22067 kwater

## 1938

- wydano 18000 widokówek z motywem Czortkowa, Św. Trójcy i Złoczowa
- powołanie Sekcji Narciarskiej, która stała się członkiem Polskiego Związku Narciarskiego, w 1938 r. 56 członków
- wydanie przez Oddział PTTK w Skalacie „Przewodnika po powiecie skałackim” autor-

stwa Józefa Opackiego (48 s., 14 ilustracji) w nakładzie 1500 egzemplarzy

- wydanie „Przewodnika po Brzeżanach i okolicy” autorstwa S. Wiszniewskiego w nakładzie 1500 egzemplarzy (68 s.)
- za pośrednictwem Towarzystwa w roku 1938 wynajęto 23450 kwater
- na koniec 1938 r. 1609 członków PTTK

## 1939

- liczba członków Sekcji Kajakowej wyniosła 37 osób
- 24 maja protokół Komisji Rewizyjnej Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, Wydział Centralny w Tarnopolu spisany w biurze Towarzystwa z rewizji ksiąg za 1938 r. Komisja w składzie: dyrektor inż. Władysław Burgielski, inspektor Eugeniusz Pfisterer, dyrektor Michał Greszczuk i Bronisław Szozda przeprowadziła kontrolę ksiąg, zamknięć i wrywkową kontrolę dokumentów rachunkowych za 1938 r. stwierdzając zgodność zapisów, bilansu i rachunku strat i zysków. Komisja Rewizyjna uchwaliła postawić wniosek Walnemu Zgromadzeniu na udzielenie absolutorium z działalności za 1938 r.

Więcej na ten temat: J. Kapłon „Podolskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze” w „Cracovia Leopoldis. Czasopismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”, zeszyt 4 (60) 2009, oraz „Podolskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Zarys dziejów.” Studia i materiały z dziejów krajoznawstwa polskiego. Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Zarząd Główny. Komisja Historii i Tradycji, t. 1. Warszawa 2006

Autor, nieustannie prowadzący badania na dziejami Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, zwraca się z uprzejmą prośbą o kierowanie do niego wszelkich informacji dotyczących tego niezwykłego stowarzyszenia, bowiem nieustannie stara się wzbogacać o nim wiedzę celem zachowania jej dla przyszłych pokoleń – jako ważnego elementu historii polskiej turystyki.

**Michalina Grekowicz-Hausnerowa**

## Pod żółto- -niebieską flagą

**N**a wieży ratuszowej zawisła flaga żółto-niebieska. Lwów opanowało wojsko ukraińskie, otrzymawszy od ustępujących ze Lwowa Austriaków broń, amunicję, mundury i cały sprzęt wojskowy.

Zapadł nad miastem grobowy nastrój. Ulice były puste, przemykały nimi tylko samochody ciężarowe, naładowane żołnierzami z karabinami gotowymi do strzału. Krążyły patrole ukraińskie.

Był to dzień Wszystkich Świętych. Na Cmentarz Łyczakowski podążyły nieliczne grupy ludzi, którzy odwagili się odwiedzić groby swych najbliższych. Nie przypominało to dawnych tłumnych Zaduszek na gorejącym świetłami cmentarzu. Udałam się na grób ojca i spotkałam w bramie cmentarnej dziennikarza z „Kuriera Lwowskiego”, kolegę Antoniego Lecha, który powiedział mi, że Legioniści biją się z Ukraińcami w szkole Sienkiewicza.

Zaczęły się dni smutku, trwogi i nadziei. Ulica Piaskowa, gdzie mieszkałam z matką i siostrami, znajdowała się we wschodniej dzielnicy Lwowa, na Łyczakowie, a więc w tej części miasta, która najdłużej pozostawała pod władzą ukraińską. Od szkoły Sienkiewicza rozszerzyły się walki w południowo-wschodniej stronie i zrazu mała część Lwowa opanowana była przez walczących Polaków. Do szeregów Legionistów zgłaszali się wciąż nowi ochotnicy, zwłaszcza młodzież. Niektórzy z tych małych żołnierzyków mieli po 14, 13, a nawet 12 lat. Przychodziły i dziewczęta. Kobiety zorganizowały kuchnię dla obrońców Lwowa i opiekę sanitarną dla rannych. Poległych grzebano tymczasowo w pobliżu pola walki, najczęściej w ogrodzie Politechniki. Zaczęto drukować „Pobudkę”, jedyny organ polski z czasów walk listopadowych. Redagowała ją moja koleżanka z „Gazety Porannej” Janina Łada-Walicka z redaktorem Arturem Schröderem

Wszystkie redakcje i drukarnie polskie znajdowały się po stronie ukraińskiej i w parę dni po zajęciu Lwowa cała prasa polska za-

milnia, ukraińscy żołnierze porozbijali maszyny drukarskie granatami ręcznymi.

Przeciskało się do nas przez linię frontu, biegnącą przez miasto, bardzo niewiele wiadomości. Wiedzieliśmy tylko, że tam, w okolicach dworca głównego, Politechniki, ulicy Polnej (przy której znajdowała się szkoła Sienkiewicza, nazwanej później ulicą Lwowskich Dzieci) biją się o Lwów.

Życie było trudne, niestychanie ciężkie. Cały handel zamarł, zapanował głód nie do opanowania. Miałyśmy na szczęście w piwnicy zimowy zapas ziemniaków i trochę buraków, w pierwszych dniach inwazji udało mi się kupić w jakimś otwartym jeszcze sklepiku kawałek słoniny. Codziennym naszym pożywieniem były ziemniaki, barszcz, ćwikła. Sąsiedzi mieli na odmianę kapustę i dzielili się wzajemnie tymi ubogimi zapasami.

Raz zapukał do naszego mieszkania oficer ukraiński, lotnik. Przyjęliśmy go w dom ze strachem i nieufnością, ale nas wnet uspokoił, że przychodzi z przesyłką od Artura. Zaiste, gość niezwykły i niespodziewany. Narzeczony siostry wyjechał bowiem przed dniem 1 listopada do Krakowa na zjazd PPS i nie było od niego znaku życia. Przez owego Ukraińca, którego nie wiem jak potrafił sobie zjednać, przysłał list i paczkę cukru. Nie pamiętam tylko, czy oficer mówił do nas po polsku czy po swojemu.

Mimo że praca dziennikarska ustała, chodziłam do redakcji, aby zdobyć wiadomości. Panowała całkowita martwość na ulicach, którą ożywiały tylko patrole z nastawionymi bagnietami. Błąkały się kule, jedna gwizdnęła mi nad uchem, gdy na prośbę red. Bogumiły Ancówny szłam krętymi uliczkami Cytadeli na ul. Kaleczą do jej przyjaciółki, Heleny Waniczkówny, by doręczyć jej komunikat polski z placu boju. Wydawały bowiem wspólnie bite na maszynie do pisania tajne pismo „Głos Polski”.

Po trzech tygodniach nadeszła odsiecz 5. pułku Legionów w liczbie dwóch tysięcy żołnierzy pod dowództwem pułk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. 22 listopada rano gruchnęła po mieście wiadomość, że Lwów jest w polskich rękach. Wlała się do miasta wesoła brać legionowa wraz z cywilnymi ochotnikami. Mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice, oglądając już bez strachu podziurawione kulami domy i rozmawiając z żołnierzami. Panowała powszechna ra-

dość, a zarazem nieład, nieporządek. Ulice, osypane pierwszym, obfitym śniegiem, poryte pociskami jako wczorajsze pobojowisko, przedstawiały obraz okropnego zaniedbania.

Wszystkie kamienice, zwłaszcza bliższe dworca, Politechniki i dzielnicy Gródeckiej, wyglądały jak twarz człowieka, który przeżył ospę. W mocno pokiereszowanym gmachu Poczty Głównej brama boczna od strony ul. Kopernika – zatkana prawie do samej góry kamieniami, siennikami, deskami, ukazywała koślawo nagryzmony napis: „Reduta Piłsudskiego”. Był to jeden z mocnych punktów obrony.

Kawiarnie i restauracje zapełniły się wójakami. Weszłam do „Romy” przy ul. Akademickiej, spotkałam tam znajomego z Gospody leguna Wiktora Gutowskiego, artystę malarza, który swego czasu urządził wystawę szkicowanych ołówkiem portretów Legionistów. Ranny w rękę, nosił ją na temblaku. Brał udział w walkach na odcinku ul. Bema i opowiadał mi o nich, a ja słuchałam rada, że znam kogoś z walczących.

Wieczorem przemaszerowały przez miasto oddziały biorące udział w odsieczy, ciągnąc na wschód ulicą Łyczakowską. Było to już regularne wojsko w mundurach jednolitych, przyzwoicie uzbrojone, z czołgami i baterią dział polowych. Snuło się za nim mnóstwo cywilów, tworząc bezładny pochód szczęśliwych zwycięzców. Poszłam i ja, ażeby zebrać po drodze wiadomości do pierwszego po trzech tygodniach artykułu dla „Gazety Porannej”, bo jakimś cudem dzienniki polskie, mimo rozbitcia drukarni, ukazały się nazajutrz po odbiciu Lwowa.

Nawiązałam rozmowę z jednym z oficerów, chcąc zaczerpnąć fachowych informacji o maszerujących oddziałach. Był to major Józef Klink (nie wiem, czy już wtedy w tej randze), który później przez długie lata pełnił obowiązki referenta oświatowego wojsk polskich, podawał prasie wiadomości o wszelkich akcjach kulturalnych, obwoził nas po żołnierskich wigiliach i szkołach dla analfabetów.

Wkrótce po zmianie zawitał do nas Artur Hausner i opisał nam swój dramatyczny powrót z Krakowa.

– Wezwany telegraficznie na posiedzenie zarządu Polskiej Partii Socjalistycznej – opowiadał – przybyłem do Krakowa we czwartek (31 października). W mieście ra-

dość, domy udekorowane, tłumy na ulicach. Zarząd PPS dał Julianowi Obirkowi i mnie pełnomocnictwo do porozumienia się z Ukraińcami. W piątek wieczorem rozeszły się niejasne wiadomości o zamachu ukraińskim na Lwów. Postanowiłem natychmiast wracać. W Przemyślu nie pozwolono pasażerom wysiąść z wagonów, musieliśmy poddać się rewizji polskiej. Dworzec przemyski przepelniony był żołnierzami wracającymi z rozmaitych frontów. W Medyce przystąpili do nas uzbrojeni ludzie w czapkach austriackich, z nastawionymi bagnetami, wołając: „Ruki do hory!” (Ręce do góry!). Rewizja ukraińska. Uwijało się tam mnóstwo oficerów niemieckich w wesołym humorze. Ukraińcy obrabowali żołnierzy – Polaków ze wszystkiego. Dojechałem pociągiem do Mszany, stąd szedłem piechotą wzdłuż toru kolejowego. Z Bogdanówki (przedmieścia Lwowa) przeszedłem na ul. Gródecką i widzę, że tu wre walka. Słychać strzały, na ulicach leżą trupy ludzi i koni. Zgromadzili się kolejarze i uchwalili jednomyślnie zorganizować rząd tymczasowy z delegatów czterech stronnictw polskich, a to: PPS, Narodowej Demokracji, Polskiej Demokracji i Ludowców. Wybrano komitet, na czele miał stanąć dr Marceli Chlamtacz i ja. Endecja nie zgodziła się na ten wybór.

Znalazłem się po stronie ukraińskiej. Miasto było sterroryzowane, żywego ducha na ulicy. Próbowaliśmy ugody z Ukraińcami, ale oni nie byli do niej skłonni. Wróciłem znowu na stronę polską – zakończył opowiadanie Artur.

Lwów był w rękach polskich, ale walki dokoła miasta nie ustały. Terkotwały karabiny maszynowe, wybuchały granaty. Od Bartatowa i Stawczan, Sokolniki, Sygniówki posuwał się generał Sikorski na czele Legionistów. Codziennie w południe Ukraińcy ostrzeliwali gwałtownie miasto z armat. Pociski czyniły wielkie wyłomy w murach i dachach domów,



zabijały ludzi na ulicach, drążyły jamy w brukach. Matka moja, wracając raz do domu, tuż przed bramą omal nie została trafiona szrapnelem. W czas jednak zdążyła przytulić się do muru, obsypały ją odłamki. Pocisk ugrzązł na naszym strychu.

Rozbito elektrownię i wodociągi, ustała komunikacja tramwajowa, zgasło światło, po wodę chodzili lwowianie z dzbankami i wiadrami do studzien, czasem pod kulami. Było ciemno, brudno, zimno i głodno... Porządku w mieście strzegła Miejska Straż Obywatelska, zwana krótko MSO, złożona ze starszych mężczyzn.

Chodziłam codziennie pieszo do redakcji, nieraz wśród burzy latających granatów i szrapneli. Nie bałam się prawie i nie uważam tego dziś za szczególną odwagę, ale raczej za jakąś młodzieńczą odporność nerwów.

– Zabije czy nie zabije? – myślałam tylko, słuchając świstu pocisków. – Jeżeli zabije, to przestanę się bać, a nie zabije, tym lepiej. Przeleciał, nie zabił – ach, jak dobrze!

Kule trafiały tych, co się bali, i tych, którzy się nie bali. Zginął od granatu wydawca Aleksander Miński, gdy uciekał przez swe podwórze do piwnicy, bo bał się okrutnie. Zginął na progu swojej cukierenki przy pl. Bernardyńskim znany mieszczanin Pasternak, który wystawał tam zwykle godzinami i obserwował, bo się nie bał...

Tego spokoju nie miałam już w czasie wojny hitlerowskiej, może dlatego, że zaraz na początku, w połowie września, podmuch bomby, która zgruchotała naprzeciw trzypiętrową kamienicę, zrujnował nam całkowicie mieszkanie, nikogo z nas na szczęście nie zabijając, bośmy się przypadkowo nie znajdowali we frontowych pokojach. Zginęło jednak wtedy dwoje naszych sąsiadów. Potem już nie mogłam opanować ani ukryć strachu w czasie każdego nalotu niemieckiego.

Walki o Lwów w r. 1918–19 trwały całą zimę. Dowiedziała się o nas Europa, przyjechały wojskowe misje zagraniczne: francuska, angielska, włoska, rumuńska. Goszczono ich, zapraszano do teatrów, urządzano specjalne przedstawienia, odbywano z nimi konferencje, ale sprawa przynależności Lwowa i kraju na wschód od Sanu stanowiła wciąż zagadkę.

Lwów był otoczony walczącymi wojskami, z powodu niemożności dowozu panował głód nie do opisania. W pierwszorzędnej

restauracji hotelu George'a podawano tylko postny krupnik z czarnych krup jęczmieniowych i makaron z ciemnej mąki, prawie nie omaszczony. W Wielkim Tygodniu zjawił się u nas w domu dziwny gość, żołnierz polski niosący ogromny tłumok. Czegoż tam nie było! Mąka, chleb, cała szynka, zwój kiełbasy, kilka litrów mleka w bańce i nie pamiętam, co jeszcze. Do tego anonimowy, serdeczny list, naszkrobany żołnierską ręką. Autor pisał, że oni, wojacy, mają po wszech wszystkiego pod dostatkiem i proszą o przyjęcie świątecznych podarków wraz z życzeniami. Nie chciał wyjawić swego nazwiska, nie czekał na podziękowanie.

Podjeżdżaliśmy, że o tę przesyłkę postarał się narzeczony młodszej siostry, Zosi, porucznik Mieczysław Bętkowski, który walczył pod Sikorskim. Po wojnie zaklinał się, że nie on był tym tajemniczym ofiarodawcą.

Wygłodzone, rzuciłyśmy się na dawno niekosztowane przysmaki, ale że był Wielki Piątek, schowało się wędliny i co najlepsze na święta. Opitałam się tylko lekkomyślnie zimnym, podkisłym już mlekiem i kto wie, czy jego niepożądane działanie nie uratowało mi życia. Wysłałam wieczorem z redakcji i... musiałam natychmiast wrócić na górę. W tej chwili zaczął się gwałtowny atak dział ukraińskich. Przeczekałam bezpiecznie ostrzeliwanie i wróciłam cała do domu, gdy się skończyło.

Noc z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną była przełomowa. Szalał nad miastem taki huragan ognia z wszelkich rodzajów broni, że nikt oka nie zmrużył – zdawało się, że cały Lwów pójdzie w gruzy. Zeszliśmy na I piętro do sąsiadów, jako że niżej trochę bezpieczniej, a w liczniejszym gronie raźniej. Nazajutrz burza ucichła, Lwów zaczął spokojnie oddychać. Ten żywiołowy atak polski nie wyrządził miastu szkody, a odepchnął Ukraińców daleko poza zasięg strzałów.

Małopolska wschodnia była jednak długo jeszcze terenem walki i okrucieństwa Ukraińców, którzy mścili się na Polakach za doznane klęski. W zamku Sobieskich w Złoczowie więziono i umęczono wielu Polaków wziętych na zakładników, wśród nich niejednego wybitnego obywatela, m.in. zginął tam Juliusz Starkel jun., syn znanego publicysty i działacza z r. 1863, a wuj Stanisława Wasylewskiego, którego matka

była z domu Starkłówna. O obozach koncentracyjnych, w jakich zamykano Polaków, chodzili wieści wstrząsające.

Ażeby je sprawdzić i starać się jakoś ratować więźniów, wyjechała ze Lwowa do obozu w Mikulińcach polska delegacja stowarzyszeń kobiecych złożona z trzech osób. Wszystkie wróciły do Lwowa zarażone tyfusem plamistym. Tylko jedna delegatka wyzdrowiała, a ofiarą padła Maria Dulębianka, zasłużona społeczniczka, opiekunka ubogich. W młodości uśmiechały się jej laury artystki-malarki. Jako zdolna uczennica Jana Matejki wyjechała na dalsze studia do Paryża. Przyjaźń z Marią Konopnicką zwróciła później jej zainteresowania na zagadnienia społeczne. Dulębianka porzuca pędzel i staje się zagorzałą działaczką na terenie Lwowa, zarazem feministką w dawnym stylu.

W czasach, gdy kobiety nosiły na głowach kunsztowne, fryzowane czuby, a dziewczęta pielęgnowały starannie warkocz, aby były jak najdłuższe i jak najgrubsze, krótko ścięte włosy Dulębianki wyglądały na objaw dziwactwa. Kołnierzyk męski, krawat, ciemny kostium z żakiecikiem przypominającym męską marynarkę, ostrzyżona, siwiejąca już głowa i binokle na oczach dawały – jeśli się nie widziało za stołem spódnicy – nieomal złudzenie, że ma się przed sobą mężczyznę. Mężczyznę bardzo sympatycznego, energicznego i mądrego.

Znałam Dulebiankę osobiście i lubiłam z nią rozmawiać. W tej kobiecie tak mało kobiecej, ale ogromnie bezpośredniej, żywej, wesołej, nie było żadnej pozy ani dumy ze swej popularności i wysokich osiągnięć życiowych. Była wszakże znaną działaczką społeczną, znakomitą mówczynią, redaktorką, publicystką, organizatorką, kandydowała niegdyś do Sejmu galicyjskiego ze Stronnictwa Ludowego, w ruchu niepodległościowym odgrywała wybitną rolę, pracowała w Związku Strzeleckim i w organizacji Legionów.

Z czasów swego udziału w przewożeniu za kordon tajnej bibuły rewolucyjnej opowiadała mi następującą przysgodę:

– Miałam w kieszeni pełno niebezpiecznych papierów. Na granicy złapała mnie policja rosyjska i poddała rewizji osobistej. Nie straciłam tupetu. Wyjęłam z kieszeni wszystkie notatki, adresy, odezwy itp., papiery wraz z portfelem i paszportem, położyłam ostentacyjnie cały plik na stole i powie-

działam: „A teraz proszę mnie rewidować! – Przeszukano moje kieszenie i całe ubranie, nie ruszając odłożonej paczki. Udało się.

Żał po niespodziewanej, bohaterskiej śmierci Dulębianki był we Lwowie powszechny. Tysiące ludzi wzięły udział w jej pogrzebie, za trumną szły niezliczone masy miejskiej biedoty, którą się zmarła serdecznie opiekowała. Drugą ofiarą tyfusu przywiezionego z obozów była 37-letnia Teodozja Dzieduszycka, przełożona szpitala na Politechnice.

Skoro tylko komunikacja kolejowa po walkach listopadowych się unormowała, redakcja „Gazety Porannej” i „Wieczornej” mocno opustoszała. Z miasta, w którym życie stało się bardzo ciężkie, wyjechali na dłuższy czas redaktorzy Konarski i Wasylewski. Kierownictwo redakcji pozostało wyłącznie na głowie niezmordowanej Bogumiły Ancówny. Na zawsze opuścili Lwów zdolni współpracownicy Herminia Naglerowa i Ludwik Rubel, protestując w ten sposób przeciw pogromowi Żydów, jakiego dopuścili się na Przedmieściu Żółkiewskim pierwszego wieczora po zwycięstwie w dniu 22 listopada niesforne elementy wśród polskiego wojska ochotniczego. Oboje byli bowiem pochodzenia żydowskiego.

Do wszystkich wielkich i małych dolegliwości, jakie niosły za sobą walki we Lwowie i w pobliżu Lwowa, dodawały nam bólu pogrzeby żołnierskie, odprowadzające codziennie poległych przez całe miasto w stronę Łyczakowa. Orkiestra wojskowa grzmiała żałobnie (jeszcze dzisiaj grają mi w uszach te marsze), maszerował powoli oddział towarzyszków broni, szedł kapelan, a na prostym wozie leżała na gałęziach świerkowych drewniana, niemalowana trumna owinięta biało-czerwoną płótnem. Czasem dwie, czasem trzy naraz. Do pochodu przyłączały się przechodnie, nie mogąc minąć go obojętnie.

Zarząd miasta przeznaczył na cmentarz Obrońców Lwowa stok wzgórza Pohulanki, łączący się z cmentarzem Łyczakowskim. Wnet zawiązało się towarzystwo Straż Mogił Polskich Bohaterów, które zajęło się budową mauzoleum i opieką nad grobami. Czynne w nim były zwłaszcza matki, które straciły synów w walkach lwowskich. Przewodniczącą była żona prezydenta miasta, Kazimiera Neumannowa. W ciągu lat kilkunastu

# Z Emilią Kluk

**Iwowianką – działaczką społeczną z Rzeszowa, rozmawia Zbigniew Wawszczak**



**Pani Emilio, proszę przypomnieć sobie, gdzie w pięknym Lwowie znajdowała się ulica Bukowa? Zajrzałem do kilku współczesnych przewodników, niestety, nie trafiłem na ulicę, która odegrała ważną rolę w Pani życiu.**

Urodziłam się we Lwowie w 1934 r. Moi rodzice mieszkali przy ul. Bukowej 32A – to boczna ul. Łyczakowskiej w pobliżu ul. Pasicznej, tam gdzie teraz jest nowy dworzec autobusowy (w pobliżu Rogatki Łyczakowskiej). Nazwa ulicy pozostała, domu naszego nie ma. To tylko pusta działka zarośnięta chaszczami.

**Proszę przybliżyć nam ulicę, opowiedzieć, jak wyglądał dom rodzinny. Kto oprócz rodziny Kluków mieszkał na Bukowej? Krakowski lekarz Przemysław Włodek od wielu lat zajmuje się zbieraniem adresów, nazwisk i zawodów ludzi zamieszkujących domy, kamienice i pa-**

łace Lwowa tuż przed wypędzeniem Polaków po II wojnie światowej. Dotychczas ukazało się kilkanaście tomików obejmujących poszczególne dzielnice polskiego Lwowa. W tym roku dr Włodek rozpoczął publikację nowych informacji na łamach kwartalnika „Cracovia-Leopolis” pod tytułem *Słownik miast i ulic*. Czy mogłaby Pani uzupełnić poszukiwania cierpliwego doktora nazwiskami z ul. Bukowej?

Na zakręcie ul. Bukowej znajdowały się cztery domy, a pozostałe oddalone od siebie, bo tam były ogrody i sady. Często przychodziłam na Pohulanek zbierać leśne owoce. Wyglądało to tak jak na rysunku. Mieszkała tu rodzina, której nazwiska nie znam. Stąd pochodziła nasza niania Bazylesia – tak zwracaliśmy się do niej. Możliwe, że nazywała się Bazyleska, bo takie nazwy też słyszałam. Bawiłam się z dziećmi z tego domu, tam też nieraz nocowałam. Jednak tych ludzi nazwiska nie pamiętam. Tuż za wysokim parkanem przy naszym domu mieszkała rodzina Ormian – małżeństwo i ich dwie córki. Z ich drugą córeczką, a moją przyjaciółką Polą Binasiewicz bawiliśmy się. Od tyłu naszej posesji – poniżej (bo nasz dom stał na wzgórku nad Debrą) mieszkała rodzina ukraińska Podłypnych. Pan był z wykształcenia muzykiem – nauczycielem gry na skrzypcach w szkole muzycznej, żona krawcową. Ich jedyna córka była starsza ode mnie o dwa lata. Bardzo chętnie przebywałam u nich w domu podczas nauki gry na skrzypcach z córeczką. Cieszyłam się też, kiedy mogłam być z Niusią i bawić się. Matka Hanusi życie nam uratowała – ale to już inna historia... Po drugiej stronie ulicy mieszkała rodzina, której nazwiska nie pamiętam. Tu wszyscy sąsiedzi byli zaprzyjaźnieni i chętnie się wspierali. Te moje noclegi poza domem spowodowane były zdarzającymi się napadami ze strony nacjonalistów ukraińskich. Państwo Kalicyńscy z rodziną naszą byli w bliskim kontakcie. Dalej mieszkali rodzice starszej koleżanki Hanki, byli bardzo zaprzyjaźnieni z nami – szczególnie ojciec mój z ojcem Hanki. Był pedagogiem i pomagał nam w nauce. Kiedy Sowieci wywieźli mojego ojca, byłam pod stałą opieką rodziny Schmidtów. Przypominam sobie, ich dom był duży, długi, z ogrodem i wysoko położonym tarasem. Stąd był doskonały widok na Pohulanek. Pewnego razu wraz z ciężką metalową ławką spadłam z tarasu. Znalazłam

się w szpitalu z wstrząsem mózgu i rękami w gipsie. Ścieżką przez ogródki, w stronę koszar Pułku Ułanów Jazłowieckich, chodziłam do zaprzyjaźnionej z nami rodziny Gromadowskich. Ja i ich syn Jurek byliśmy w sobie zakochani. Piękna czysta miłość małych dzieci! Biegaliśmy razem do zagajnika na Jałowiec zbierać leśne owoce i grzyby, strzelać z procy. A zimą na Pohulanę, na sanki. Do szkoły nie mogliśmy razem dojeżdżać tramwajem, gdyż inny był rozkład zajęć. Były dwie szkoły w pobliżu: męska – powszechna i żeńska im. św. Antoniego przy placu tego samego imienia jak kościół. Mój braciszek Ludwik, dwa lata młodszy, na wakacjach w 1943 r. zrobił nam niespodziankę, marzył, abyśmy byli z Jurkiem małżeństwem i tak się stało. Ludwiś przebrał się za księdza (bo obiecał sobie, że jak dorośnie będzie kapłanem). Zorganizował uroczystość „ślub” pod studnią, z której korzystali mieszkańcy. Świadców nie brakowało. Byliśmy: ja – Mićka (tak mnie nazywano), w białej sukni, z bukietem, w welonie i odpowiednio też ubrany Jurek Gromadowski. Złożyliśmy sobie przysięgę. Potem ugościła nas i jego rodzinę moja babcia Katarzyna, matka mego ojca. W naszym domu odbyło się „wesele”. A teraz opowiem jak wyglądał nasz dom. Część była budowana dla dziadków Kluków, a drugą dobudowano dla jedynaka syna Józefa Kluka i jego żony Janiny i ich dzieci: Emilii, Ludwika, Stanisława.

**Z opowieści Pani zapamiętałem, że dom Kluków otaczał spory i piękny ogród, którym zajmował się związany z rodziną ogrodnik, przed rewolucją bolszewicką zatrudniony w ogrodach carskich w Petersburgu.**

Istotnie, ogrodnik miał szczęście, że uciekł z Rosji i powrócił do Lwowa. Ożenił się z owdowiąłą babcią Kluk. Drugi mąż babci Katarzyny, Eliaszy Ponczyj, był kawalerem, człowiekiem wykształconym, z zawodu bankowcem. Pracował w Miejskiej Komunalnej Kasie Oszczędności przy ul. Wałowej, koło Halickiej. Często tam zaglądałam. Jak ja go pamiętam? Był elegancki i po pracy wracał do domu. Pielęgnował ogród pełen kwiatów i bardzo dużych słoneczników. Druga część to był ogródek warzywny. Było też miejsce na wypasanie kóz. Orodnika wszyscy podziwiali, gdy strzygł trawę w pozycji leżącej (tak jak u cara), aby była równa. Wieczorami

dużo czytał. Kołysał się na bujaku. Palił fajkę i nie odmawiał sobie alaszu (likieru kminkowego). Z grupą pracowników bankowych wyjeżdżał grać w krykieta. Obydwoje, babcia Katarzyna i jej mąż Eliasz, zginęli w pożarze domu, spowodowanym przez banderowców w maju 1944r. Tak mieliśmy zginąć wszyscy. Sąsiadka Podlipna nas uratowała. Słyszałam, jak powiedziała do mamy: „Wychodźcie pojedynczo, bo wy zimą do wyrzania”. Dziadkowie nie zgodzili się, aby zostawić dorobek życia – zginęli w pożarze wraz z całym dobytkiem. Co zostało na Bukowej 32 A? Można zobaczyć w internecie: pusta działka zarośnięta chaszczami. A dziadkowie bez grobu. Cześć ich pamięci! Zapamiętałam, jak obydwie moje babcie – mama taty Katarzyna Kluk-Ponczyj i Franciszka z domu Zajęc – Pszon – mama mojej mamy, wspominały, jak straciły mężów. W 1915 r. wojska carskiej Rosji zajęły Lwów. Deportowano wielu znanych Polaków na Syberię. Ludwik Kluk – mój dziadek nie dał się wywieźć na katorgę, sam sprawę załatwił: popełnił seppuku (wtedy nie rozumiałam, co to znaczy) i spoczął na cmentarzu Łyczakowskim... Babcia Franciszka została z dwójką dzieci – Janiną ur. w 1911 r. i Stanisławą ur. w 1914 r., bo podczas walki z bolszewikami o Lwów zginął jej mąż, Jan Pszon.

#### **Jak trafiła pani do Rzeszowa?**

Droga moja do Rzeszowa była długa, prowadziła przez Świętoniową, Przeworsk, Jarosław, Kraków, Jagniątków i Wrocław. W tych miejscowościach moi krewni mają mieszkania i groby.

**Wspominała pani o rodzinach, które mieszkały na ul. Bukowej. Może byli wśród nich znani lwowianie?**

Być może, ale byłam wtedy za mała, aby się tym interesować. Mam paszport (dowód osobisty ojca) – Józef Kluk *zubnyj wracz* – Politechnika Lwowska – pisany po rosyjsku. Nie miałam o tym pojęcia. Myślałam, że był artystą malarzem, bo w domu malował obrazy olejne. Ojciec miał małe laboratorium, robił jakieś badania chemiczne. Na skutek nieostrożności w wypadku zginął mój brat Ludwik po wypiciu kwasu solnego (ojca już nie było, Sowieci go wywieźli), operowany przez znanego lwowskiego chirurga prof. dr. Adama Grucę – nie przeżył. W czasie oku-



pacji niemieckiej mój drugi dwuletni brat przebywający w szpitalu z podejrzeniem udaru słonecznego nie przeżył z powodu przetoczenia krwi od niego dla żołnierza niemieckiego. Widziała to moja ciocia. Była tam pielęgniarka, ale nie mogła temu zapobiec. Była to dla mnie wielka trauma.

**Czy można określić rodziców pani mianem ludzi dosyć zamożnych? Obydwoje pracowali, co przed wojną należało do rzadkości. Ojciec zatrudniony był na Politechnice, a mama prowadziła pracownię gorseciarską; to były czasy, kiedy gorset stanowił niezbędną część damskiego ubioru, nie tylko eleganckich kobiet, a takich przecież we Lwowie nie brakowało.**

Tak, rodzice z jednej, jak i z drugiej strony otrzymali dobre wiano, a i sami na to zapracowali.

**Oczywiście wszystko zmieniło się radykalnie po wybuchu II wojny światowej w 1939 r., po zajęciu miasta „zawsze wiernego” przez armię czerwoną rozpoczęły się szeroko zakrojone prześladowania Polaków. Więzienia zapełniły się aresztowanymi. Niestety represje nie ominęły również rodziny Kluków. Pewnego dnia w 1940 r. w domu na Bukowej pojawiło się NKWD i zabrało ojca. Czy pani (wówczas sześciolatka) zapamiętała tę groźną wizytę?**

Po południu przyszło pięciu NKWDzistów. Niby to miało być miło. Wzięli nas na kolana, poczęstowali cukierkami. Przepytali w zrozumiałym dla nas języku, tylko jednak z akcentem rosyjskim, m.in: „radio u was jeść”. Tak przemądrzały Ludwiś pokazał „o trzeba podnieść deskę od podłogi”. Ja z kolei, nieświadoma, nie rozumiałam, dlaczego naszą nianię położyli na podłodze i tak jeden po drugim skakali po niej. Kiedy pojawił się tato, NKWDziści skuli go i wyprowadzili. Mamy jeszcze nie było, z pracy zawsze wracała później od ojca. Młoda niania Bazylesia brzytwą poprzecinała so-

bie żyły, krew wylewała się na podłogę. Ja byłam bezradna, a brat wystraszony uciekł na Pohulankę, schował się w Lasku. Gdzie byli dziadek z babcią, nie pamiętam, a pies Miśko – bernardyn spał. Zostałam sama, bardzo wystraszona. Kiedy pojawiła się mama, niania nie żyła. Sąsiedzi pomagali, odnaleźli brata Ludwisia. Czekałam tylko, kiedy zobaczę znów ojca, bo byłam przyzwyczajona, że na dobranockę był z nami.

**Trudno było się pogodzić z nieobecnością taty. Wtedy jeszcze rodzina nie wyobrażała sobie, że głowa rodziny już nigdy nie wróci do domu. Na pewno mama i inni członkowie rodziny starali się ustalić, w którym z lwowskich więzień osadzono ojca, jakie postawiono mu zarzuty?**

Podjęte przez ciocię poszukiwania w lwowskich więzieniach nie dały rezultatu. Prawdopodobnie ojciec niedługo po aresztowaniu został wywieziony ze Lwowa, tak jak tysiące innych więźniów. Tato przepadł bez śladu. Nigdy już nie zobaczyłyśmy go. Mama niechętnie (już po opuszczeniu Lwowa) wspominała o tych wydarzeniach. Wiele razy w życiu spotykały nas przychwyty. Jednak po zamieszkaniu w Rzeszowie wszystko się dobrze ułożyło.

**W czasie okupacji sowieckiej, a także niemieckiej rodzina przeżywała rozmaite trudności związane z zaopatrzeniem w żywność. W związku z tym wzrosło znaczenie własnego ogrodu.**

Tak było, nie wystarczyło mieć tylko pieniądze. Mieliśmy rodzinę ze strony babci Franciszki Zajęc-Pszon w miejscowości Borszczów, która prowadziła gospodarstwo rolne. Oni nam pomagali. Tam też mieszkaliśmy w wolnym czasie. To, co się udało uprawiać we własnym ogrodzie, musiało wystarczyć. Tak mieli wszyscy mieszkańcy przy ul. Bukowej – bo to nie było Śródmieście. Hodowało się dwie kozy i kury. Porcje żywieniowe były ograniczone. Z przydziału na kartki należała się tylko jedna kromka chleba razowego na dobę, za to wszyscy mieliśmy smukłe sylwetki. W tym czasie babcia Kluk-Panczyj dokarmiała dwu ukrywających się żydowskich chłopców. Byłam za mała, żeby wszystko o tym wiedzieć, a dorośli mieli swoje tajemnice. To już tajemnica bardzo ważna – moja. Dokładnej daty nie pamiętam.



Przypominam sobie takie zdarzenie. Był rok szkolny, ciepła pora, wiosną, za okupacji niemieckiej. Wracając ze szkoły św. Antoniego tramwajem, uratowałam się przypadkowo. Był duży tłok. Mój pomysł. A niech to lichy! Co to znaczy? Tam ma być tyle miejsca. Bo tylko „nurfirdojcze”? Przeszłam i usiadłam. Tu nie było nikogo. Na ostatnim przystanku umundurowani Niemcy otworzyli drzwi i wszystkich wygarnęli do samochodów. Ja i tramwajarz (kierowca) zostaliśmy. Potem, jak uciekałam, ochlapałam atramentem z kalendarza mundurek szkolny.

**Proszę przypomnieć, jakie zdarzenia poprzedziły wyjazd rodziny ze Lwowa. Coraz częściej mówiło się o zbliżającym się froncie i trzeba było się spodziewać, że wojska sowieckie ponownie zajmą Lwów. Czy w związku z tymi pogłoskami w domu przygotowywano się do tego bolesnego kroku, czy też decyzja zapadła nagle, w ciągu paru dni?**

Stało się to z dnia na dzień. Mama podjęła przygotowania, o których nie wiedziałam. Wyjechaliśmy ze Lwowa na zachód.

**Kiedy po ucieczce z ul. Bukowej i schronieniu się u babci wyjechałyście ze Lwowa?**

Po przespaniu kilku nocy. Babcia Franciszka Pszon z siostrą mojej mamy, Stanisławą Pszon, mieszkały na ul. Królowej Jadwigi (to boczna Gródeckiej). Bezpośrednio po lekcjach, na polecenie mamy, jechałam do nich. Ja często pozwalałam sobie spacerować po Lwowie. Po drodze ze szkoły prawie codziennie chodziłam na cmentarz Ły-

czakowski, pod pomnik Marii Konopnickiej. Mama przyszła po pracy, a wcześniej sąsiedzi z ul. Bukowej dowieźli przechowywane bagaże. Rano przed mieszkaniem babci czekał wóz drabiniasty rodziny z Borszczowa. Był zaprzężony w dwa konie i tak wyjechałyśmy, a wszystko zostało u dziadków pod kluczem na ul. Bukowej. Mama zostawiła zakład gorseciarski pod opieką trzech pań, które były tam zatrudnione. Mama liczyła, że wyjeżdżamy na krótko. W pierwszą noc po naszej ucieczce do babci wszystko zostało spalone przez banderowców. Mieliśmy zginąć, tak jak dziadkowie Katarzyna i Elias, którzy pozostali.

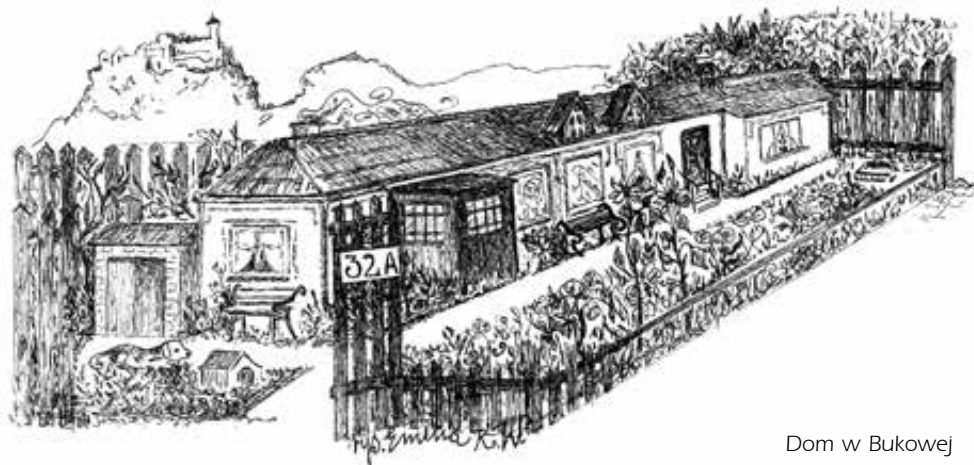
**Bez wątplenia pani wtedy jako dziesięcioletnia dziewczynka nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia opuszczenia miasta i rodzinnego domu.**

Tęskniłam za babcią i dziadkiem, także za koleżankami. Z drugiej strony bardzo mi się na wsi podobało, nie było gruzów – była wiosna, dużo zieleni. Był spokój.

**W życiu rodziny Kluków, podobnie jak w życiu milionów Polaków zamieszkałych na ziemiach kresowych, zaczynał się nowy rozdział.**

Dla mnie to były wielkie zmiany, niemal każdego roku. Tliła się nadzieja, że powrócimy na swoje. Tak, trudno było sobie wyobrazić, by mogło być inaczej.

**Wrz z mamą, ciocią i babcią zatrzymałyście się we wsi Świętoniowa koło Przeworska, bo tam byli znajomi. Zamieszkałyście w wynaj-**



Dom w Bukowej



Janina Pszon-Kluk – matka Emilii



Józef Kluk – ojciec Emilii

**jętym pokoju u jednego z rolników. Tutaj na wsi wszystko wyglądało inaczej. Jak oceniła to nowe otoczenie dziesięcioletka ze Lwowa? Proszę o przypomnienie, jak dostosowaliście się do nowych, niełatwych warunków życia? Jak było z edukacją? Naukę rozpoczęła Pani jeszcze we Lwowie i trzeba ją było kontynuować w nowych warunkach.**

Mieszkałyśmy na Zakręciu u Józefa Muchy. To „kmięć” mówili złośliwi. Miał żonę Katarzynę, dwóch synów i dwie córki, Stefanię i Marię w moim wieku. Wynajęta izba była mniejsza, ale miałyśmy dostęp do gościnnej. Były umeblowane. W naszej znajdowały się dwa szlabanki. Ja spałam na zapiecku – było mi zawsze ciepło. Umeblowanie uzupełniały: kredens, szafka i kufer z walizkami oraz maszyna do szycia – najbardziej przydatna. Były przywiezione ze Lwowa i przydawały się do przechowywania odzieży, materiałów, biżuterii i dokumentów. Musiałyśmy pracować, aby zdobyć pożywienie. Te „wałkowane” (ewakuowane) dziady – tak z ironią mówiono o nas – „za złote pierścionki chcieliby mieć wszystko”? Musiałam pracować. Do moich obowiązków należało wypasanie krów i zbieranie na taczki odchodów przeznaczonych do nawożenia. Im więcej zebrałam, tym więcej dostawałam jedzenia. A mama za pracę krawcowej otrzymywała worek kartofli, pszenicy lub inne warzywa i owoce. Singer (maszyna) służył mamie do końca żywota, do 2002 r. Teraz służył mnie (po dorobieniu blatu) jako stolik pod telewizor. Jeszcze jak byłyśmy w Świętoniowej, pan Mucha zmarł nagle. Babcia Franciszka

na zawsze w Świętoniowej pozostała, teraz łączy nas na przykład Dzień Wszystkich Świętych. Wieś jest już niepodobna do tamtej. Koleżanek mi tam nie brakowało, jednak czasu na wspólne zabawy było mało, a w niedzielę po mszy świętej już się grządek nie plewiło. Można było czytać zadane lektury. W tym dniu na drodze w wyznaczonych godzinach tłok był duży w obie strony. Do kościoła w swojej parafii lub na odpust do Grodziska każdy szedł wystrojony. Kobiety boso nosły swoje kapcie dla oszczędności. Rodziny liczniejsze dojeżdżały furmankami. Dom, w którym mieszkałyśmy, stał pośrodku bardzo rozciągniętej wsi. Lubiłam przechodzić te kilometry na bosaka – trzewiki były potrzebne na zimę według tamtej mody. Codzienna taka edukacja miała dla mnie duże znaczenie: to był w moich oczach piękny krajobraz od wiosny do zimy. Domy zbudowane były z drewna, nawet kościół parafialny był drewniany. We wsi znajdował się tartak, którego właścicielem był ks. proboszcz. Tylko szkoła była murowana. Trudno mi było zrozumieć i pogodzić się z przyjętymi w niej zwyczajami. Na początku byłam wyśmiewana przez kolegów z klasy, nie tylko dlatego, że sukieneczkę miałam mini, a nie po kostki, ale że pod nią miałam bieliznę. Jakoś sobie z tym poradziłam, mama sukieneczki przedłużyła falbankami, a ja po drodze do szkoły drugiej części garderoby pozbywałam się, zostawiając ją czasowo w łanie pszenicy. Kiedy sprawdzali mnie rówieśnicy z klasy, byłam w porządku, jak inne dziewczyny. W szkole nieposłuszni

otrzymywali razy linijką po rękach (zostały mi krzywe palce). Bardziej cierpiałam, kiedy całą lekcję musiałam klęczeć z rękami podniesionymi do góry. A raz stało się tak: ksiądz na lekcji religii chciał dać chłopcom za dobry przykład dziewczynki, które były pilniejsze w odrabianiu zadań. Nakazał nam nauczyć się ministrantury. Wtedy pomyślałam: a po co? Do mszy świętej służyć nie będę mogła (nawet za balaski nam nie wolno było wejść). Za to zostałam ukarana. Poprawczaka nie było, zastępowała go tzw. koza – ciemne pomieszczenie, w którym zamyka się dziecko za przewinienie na cały dzień. To było przeżycie, szczególnie dla mamy, kiedy ta jej „niegrzeczna Micia” po lekcjach nie wróciła do chaty. Pod wieczór odebrała mnie mama. Czytać, pisać i liczyć według programu umiałam, mimo że pod ławką ciągle coś rysowałam.

**Tymczasem zakończyła się wojna. Jesień 1944 roku powitała państwo polskie pozostające pod kuratelą Związku Sowieckiego, kierowane przez komunistów. Dorastała pani w rodzinie, którą bardzo dotknęły prześladowania ze strony władzy sowieckiej. W rodzinie Kluków niechętnie, z wielką rezerwą odnoszono się do nowych porządków zaprowadzanych przez władze komunistycznej Polski. Wypędzeni ze Lwowa byli przekonani, że wszystko się jeszcze zmieni... wybuchnie III wojna światowa, która zmieni komunistyczny ład, a Polska odzyska niepodległość i Kresy.**

Jeszcze byliśmy w Świętoniowej, jak wkroczyła sowiecka armia wyzwoleńcza. Wiele osób w to wierzyło, że nas wyzwolono. To, że przeżyli, byli szczęśliwi. W naszej wsi, na dużym pastwisku niedaleko szkoły, znajdowało się polowe lotnisko. Chodziłam tam zainteresowana, jak skonstruowane są (nazwę znałam) kukuruźniki, popularne dwupłatowe samoloty. Kiedyś pilot zaprosił mnie do środka, wsiałam, odlecieliśmy. Było to dla mnie nieoczekiwane, radosne przeżycie. Z tego też „wyciągnęłam” wniosek (bo nic mi się nie stało), że nie wszyscy są źli. Do dziś zapamiętałam słowa pilota: „Bywaj, no posmatrj na mienia, kakoje moje charoszyje glaza... kak u karowy”. Nie od razu powiedziałam o tym mamie. Jestem pewna, że dostałabym wielkie lanie... Na zimę przeprowadziliśmy się do wynajętego mieszkania w Przeworsku, na Błoniu

Browarnym, a po dwóch latach na ul. Bernardyńską. Mieszkało tam też w różnych miejscach wiele osób z Kresów – osobiście mi znany dr Opalek, Hrycek, Frey, Wygoda, wszyscy mieli wyższe wykształcenie pedagogiczne, medyczne, inżynierskie. Mama im usługiwała – prowadziła pracownię krawiecko-gorseciarską i mogła zdobywać w ten sposób środki na utrzymanie. Pracowała do ostatnich dni swojego życia. Miała w 2002 r. 91 lat. Szkołę ukończyłam w Przeworsku. Nauczyciele skierowali mnie do Liceum Pedagogicznego w Rzeszowie. Dowiedziałam się o rekrutacji do Liceum Plastycznego w Jarosławiu. Zdałam egzamin i zamieszkałam w internacie. Ale do zmiany szkoły przyznałam się dopiero, jak mama miała przyjechać na wywiadówkę. Zawsze sama podejmowałam ważne dla mnie decyzje. Byłam także przez pięć lat uczestniczką znanego nie tylko w Jarosławiu Zespołu Pieśni i Tańca Lidii Nartowskiej.

**Krytyczny stosunek do peerelowskiej rzeczywistości, publiczne wyrażanie swoich poglądów tworzyło wokół przekornej nastolatki określoną aurę, co stało się przyczyną poważnych kłopotów i zaciążyło na życiu mojej rozmówczynie.**

Tuż przed maturą zmarł towarzysz Stalin – i ktoś na moje konto w jego portrecie wydułbał oczy. Ponieważ z koleżanką zawsze najdłużej uczyliśmy się w świetlicy, na nas padło podejrzenie. Byliśmy przestuchiwane, nie pomogły zapewnienia „nie, to nie ja”. Za karę miałam nie zdawać matury, ale profesor i dyrektor obronili mnie, zdałam egzamin maturalny, zdałam też egzamin i zostałam przyjęta na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Uczęszczałam na wszystkie zajęcia w pierwszym semestrze, aż do czasu kiedy przystąpiłam do egzaminu z wiedzy o Polsce współczesnej (był taki przedmiot). Podałam nazwisko Kluk. Do profesora podszedł nieznany mężczyzna i nakazał mnie skreślić z listy studentów, podając jako powód „element szkodliwy społecznie”. Nie wiem, kto się o to postarał...

**Życie Emilii Kluk mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Odebrano Pani możliwość ukończenia wymarzonej uczelni. Był to dotkliwy cios, z którym jednak musiała się Pani pogodzić.**

Dostałam nakaz pracy do Domu Wczasów Dziecięcych (dla sierot) w Jagniątkowie koło Karpacza. Po roku jednak, chociaż byłam bardzo zadowolona, zwolniono mnie z pracy z bardzo złym świadectwem. Padły uwagi: „Jak wychowa te dzieci? Rano i wieczorem paciorek, jakieś nabożeństwa”. Blisko mi było do Wrocławia. Wybrałam się tam, bo mieszkała tam siostra mojej mamy, ciocia Stanisława Pszon-Węgrzyńska. Posiadała na tyle duże mieszkanie, że mogłam pozostać.

#### **Jak to było we Wrocławiu?**

Podjęłam pracę w Teatrze Lalki i Aktora. W pracowni projektowej wykonywałam kukielki. Po roku zrezygnowałam, bo nadarzyła się okazja. Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych (dawna Książnica Atlas ze Lwowa) poszukiwała rysownika kartograficznego, przygotowującego mapy do druku w technice offsetowej. Wszystko trzeba było wykonać ręcznie. Na wstępie odbył się egzamin i ja go właśnie wygrałam. Bardzo na tym zyskałam finansowo. Praca była na akord.

#### **W tym czasie wychodzi pani za męża. Jak poznała pani męża?**

Moim mężem został Ignacy Wołoszyn. Zналиśmy się już w Liceum Plastycznym w Jarosławiu. Pochodził z wielodzietnej rodziny (był dziesiątym synem). Rok młodszy ode mnie – byliśmy w liceum plastycznym w tej samej klasie. Zdolny, dobry uczeń, pomagał mi ogarnąć matematykę, z którą zawsze miałam kłopoty. Mieszkał we Wrocławiu z rodziną brata: Julian był profesorem na Politechnice, Ignacy tam ukończył studia na Wydziale Architektury wraz z Konserwacją Zabytków. Otrzymał pracę w niewielkim zespole specjalistów. Pobraliśmy się, pojawiły się dzieci, którymi sama musiałam się zajmować ze względu na ciągłe wyjazdy męża do pracy w terenie. Z tą sytuacją się godziłam. Była wielka miłość, małżeństwo pewnie przetrwałoby próbę czasu, gdyby nie charakter pracy i nadużywanie alkoholu. Mąż zerwał rodzinny kontakt przed urodzeniem się syna – nie spotkali się nigdy. Nie płacił alimentów. Tak samo traktował pozostałe swoje dzieci.

**Sytuacja młodej matki z dwojgiem małych dzieci nie była do pozazdroszczenia.**

Były mąż od lat już nie żyje. Niestety, myśląc o tym, co się działo, żal mi było męża – ojca naszych dzieci, że tak nieodpowiedzialnie postępował. Jako młody kawaler całkiem inaczej się zapowiadał. Boleli nad tym wszyscy. Nie myślałam tylko o sobie. Dzieciom byłam potrzebna podwójnie, by ofiarować to, czego im brakowało – miłości i pełnej rodziny. Dzieci nie mogły tej sytuacji zrozumieć, toteż syn, będąc małym chłopcem, mówił, że chce być dobrym ojcem, żeby wszystkim było dobrze.

**Niespodziewanie pojawia się nadzieja na lepsze warunki życia, poprawę sytuacji materialnej. Na drugim końcu Polski, w Rzeszowie, wybudowano dwa zakłady graficzne. Rzeszów potrzebuje fachowców, by nowoczesne zakłady mogły rozwinąć skrzydła, oferują rozmaite zachęty. Wśród nich najważniejsze to mieszkania dla specjalistów, którzy zdecydują się podjąć pracę w nowym przedsiębiorstwie. Postanawia się Pani przenieść do Rzeszowa.**

Początkowo stosunki w PPWK we Wrocławiu były sympatyczne. Nie było organizacji partyjnych, jednak nowy dyrektor postanowił ją założyć. Warunek był taki: wszyscy mieli obowiązek wypełnić deklaracje. Lwowiacy nie potrzebowali tego w pracy. Jak ktoś nie wyraził zgody, nie zwalniali, ale trzeba było złożyć wymówienie na własną prośbę. Ja podjęłam taką decyzję. W 1969 r. wyjechałam do Rzeszowa z tego względu, że było mi bliżej do mamy, która mieszkała w Przeworsku. Przyjechali inni.

**I to będzie ostatnia przeprowadzka w życiu młodej lwowianki z ul. Bukowej. Osiedla Pani na stałe w Rzeszowie, wychowała dzieci. Stopniowo wrasta w nowe środowisko. Staje się lokalną patriotką.**

Okazało się, że nie ma dla mnie pracy w Zakładach Graficznych. Ale jako rysownik kartograficzny otrzymałam etat w Biurze Geodezji i Kartografii, robiłam to samo co w PPWK we Wrocławiu na lepszych warunkach płacniczych... na akord... i dobrze mi tu było i jest na emeryturze. Na spacerze widzę jakby klimat Lwowa.

**Kiedy pod koniec PRL, w 1989 roku, powstaje również w Rzeszowie Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, jest Pani jedną z pierwszych,**

która do niego wstępuje. W pierwszych miesiącach do rzeszowskiego TMLiKPW zgłosiło akces kilkaset osób. Daje się Pani poznać z tego, że między innymi na zebraniach, uroczystościach podejmowanych przez TMLiKPW i nie tylko tu, przychodzi z blokiem i pisakiem wypełnionym tuszem – portretuje uczestników. Szkicowane na gorąco trafiają do rąk portretowanych, pojawiają się w publikacjach. Dzięki nim siwa pani o regularnych rysach stała się osobą rozpoznawalną i popularną.

Nie można nie zauważyć białołgowej. Kiedy już przysiądzie, nie potrafi być bezczynna, ponieważ z tego, co słyszy, do Kroniki nie wpisuje, to, co widzi, rysuje. Będą miały wnuczki niemało makulatury do wyrzucenia „O nie, my będziemy sprzedawać te autografy, które babcia zbiera”... Co do TMLiKPW – to że jestem z nimi, napisałam do Kroniki:

*Ja pochodzę ze Lwowa.*

*Dziadunio z Gródeckiej, babcia  
z Łyczakowa.*

*Nasz adres – ulica Bukowa 32A.*

*I czego ja mogę chcieć – ha?*

*Oj, chciałyby, chciała pohulać na  
Pohulanke!*

*Z pędzlem i farbami, bo tak mnie mam  
krajobraz serdeczny swoimi barwami  
Co pozwala mi żyć i śnić  
bo kocham Cię, Lwowie, i kocham Was.*

Na mój wiek to mało możliwe, a jednak wygrałam „kasting” do reklamy. To był długi filmik „Serek babuni”, nagrany na zamówienie w Agencji Reklamowej BODZIO.

**Zatrzymajmy się na chwilę przy Pani rodzinie. Postawiła pani wysoko poprzeczkę i dzieci muszą kończyć wyższe studia, zdobyć solidne zawody, by łatwiej było iść przez życie.**

Pensja musiała wystarczyć. W każdym miesiącu trzeba było oszczędzać. Wszystko się unormowało w Rzeszowie. Wraz z pracą otrzymałam mieszkanie, które wykupiłam na własność. Byliśmy całkowicie na swoim. Dzieci dorastały w dobrych warunkach. Niczego im nie nakazywałam. Miały tylko wiedzieć, jak wybrać między tym co dobre, a co się nie godzi. Dorosłe swoje życie sami planowali. Zaakceptowałam to, niczego nie zabraniając, bo też nie było takiej potrzeby. Córka ukończyła studia magisterskie na kierunku matematyka w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Krótko pracowała

w szkole podstawowej. Otrzymała propozycję pracy na uczelni, na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Rzeszowskiego. Miała okazję, bo tak wybrała, ukończyć studia podyplomowe z informatyki. Na tej samej uczelni pracuje 35 lat... Syn też sam wybrał, czym był zainteresowany – studia na Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. Był to kierunek trenerski, poza tym na Akademii im. Leona Koźmińskiego w Warszawie. To były studia podyplomowe zarządzania... Obydwoje w wybranych zawodach się spełniają. Jest bardzo dobrze. Mają dobrą pracę i wiele obowiązków. Są bardzo zajęci – z tym sobie radę dają.

**Proszę jeszcze parę zdań o wnukach i prawnukach. Jest pani szczęśliwą mamą, babcią i prababcią, dumną ze swojej licznej rodziny. Nie każdemu małżeństwu żyjącemu w znacznie lepszych warunkach udaje się stworzyć trzypokoleniową wspólnotę rodzinną.**

Jeżeli chodzi o dużą wspólnotę rodzinną, to należałoby zaliczyć tę ze strony synowej, jak i zięcia. Wszyscy są sobie bardzo bliscy. Córka swojego męża poznała na uczelni, kiedy tam pracowała – czcigodnego prof. dr. Michała Lorensa – matematyka. W 1988 r. on oświadczył się: „Pierwiastku mój, Mantyso moja Najdroższa, uwielbiam Cię wprost proporcjonalnie do kwadratu odległości sumy Twoich ząbków, cosinus Twoich nówek, parabolę Twojego ciała. Przyznaj się, moja kochana, czy byłaś kiedyś logarytmowana? Jeśli jesteś tak idealna jak punkt geometryczny, pozwól, abyśmy się stali ciałem algebraicznym, gdzie Ty będziesz licznikiem, a ja mianownikiem, mama Twoja, czyli moja teściowa, będzie jak kreska ułamkowa...”

**Cóż za wspaniałe oświadczenia!**

Na to Ona na nas spojrzała i „TAK!” rzekła mu Marysia.

Syn z synową pobrali się, jak mieli zaliczony staż pracy. Medycynę nie wystarczy tylko studiować. A kiedy już chodziło o wspólne życie, wszystko trzeba było dobrze zaplanować. Po ślubie, jeżeli chodzi o dzieci, też się nie spieszyli. Było tak, jak Bóg dał. Babcia przeszła na emeryturę, kiedy wnuczki nie mogły być samodzielne. Z pomocą spieszyła również druga babcia Joanna Szela... Tak też się wszystkie bardzo kochały. Wnuczki to Kasia i Basia,



córeczki synowej Aliny i syna Jarosława. Od małego spragnione wiedzy na temat świata, znały lepiej miasta różnych krajów niż ja Lwów czy Rzeszów. Naukę pobierały w szkole według programu, a języków uczyły się prywatnie. Na zajęciach mało wały z babcią obrazy. Nie było czasu na nudę. Kiedy się już z babcią Emilią pożegnały i rodziców opuściły – obydwie dorosłe, na studia wyjechały do Krakowa – to na stałe tam zostały. Kraków nie chciał się przenieść do Rzeszowa. Jesteśmy wszyscy w bardzo dobrym kontakcie. Tak Katarzyna, jak i Barbara ukończyły studia na Akademii Ekonomicznej – Wydział Stosunki Międzynarodowe, specjalność handel zagraniczny. Odbywały w tym samym czasie bezpłatny staż w firmie i od razu bardzo dobrze przygotowane otrzymały pracę, taką, jaką lubią. Latają na koniec świata zadowolone z międzynarodowych wypraw. Mają dobre wyniki. Barbara 1 lipca 2017 wyszła za mąż. Babcia na weselu podskakiwała ze szczęścia. Mężowie moich wnuczek to koledzy z tej samej branży, więc jak można by się nie rozumieć? Cieszyć się można, że nie ma przeszkód, to będą dzieci. U pierwszej wnuczki Piotruś już 3 latka ukończył. Rodzice Piotrusia w każdej potrzebie mają wsparcie od wspaniałej rodziny, która się rozrasta. U drugiej wnuczki będzie jak Bóg da, biorąc pod uwagę zwyczaje panujące po obydwu stronach rodziny. Nie tylko Eros tu się liczy.

500 + im się nie należy. Wszystko już mają.

**Czy babci i mamie udało się przekazać swoim następcom zainteresowanie i miłość do Ziemi Utraconych, a w szczególności do wspaniałego niezapomnianego grodu, jakim był Polski Lwów.**

Od małego słuchały jak pięknej bajki i rosły z nich mole książkowe, a ci, którzy w bliskiej rodzinie nie mają korzeni kresowych, są zainteresowani historią. Bo miłość Ojczyzny naszym prawem – *amor patriae nostra lex*.

**Chociaż od dziesięcioleci Pani miastem jest Rzeszów, który bardzo wypiękniał w ostatnim dziesięcioleciu i zbiera pochwały przyszłych z dużych metropolii – udaje się pani utrzymać stały, serdeczny kontakt z dziećmi, wnukami, prawnikiem osiadłym w podwawelskim grodzie.**

To tak, jak już wcześniej napisałam: jesteśmy jak kochająca się rodzina i nie może być inaczej. Nikt nikomu nowych zasad nie dyktuje – robi to, co od serca czuje. Ale też liczy się czas, kto go ma więcej, to w tę lub w tamtą stronę wędruje.

**Wiem, że jest Pani osobą bardzo ruchliwą, przedsiębiorczą i towarzyską, czemu sprzyja dobry stan zdrowia. Wiem także, że jest Pani zaangażowana w wielu organizacjach społecznych. O Towarzystwie Miłośników Lwowa już wspominaliśmy, ale tych organizacji jest podobno około dziesięciu. Nie dokuca Pani samotność. Nie zdarzyło się, by narzekała Pani, chociaż w życiu nie brakło trudnych zdarzeń i chwil. Zaraża Pani optymizmem, pogodą ducha. Swoich znajomych prosi Pani, by dzwonili po godz. 20, bo dopiero wieczorem wraca do swojego mieszkania. Co chyba jest regułą, bo musi Pani mieć czas na swoją twórczość plastyczną, na ilustrowanie tomików poetów, z którymi się przyjaźni. Sporo czasu pochłaniają spotkania, zebrania, udział w rozmaitych imprezach organizowanych przez stowarzyszenia twórcze. Jak się wydaje, szczególnie**

**bliskie jest Pani stowarzyszenie plastyków amatorów przy Wojewódzkim Domu Kultury.**

W każdym stowarzyszeniu według planów na cały rok trzeba wiele czasu poświęcić dla satysfakcji, bo tylko to się z tego ma, jak się uda komuś pomóc. Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury przy WDK podzielone jest na wiele współpracujących ze sobą sekcji: Literacka, Muzyczna, Teatralna, Plastyczna. Chociaż zebranie organizacyjne odbywa się raz w miesiącu – w pierwsze poniedziałki, to na co dzień według planu spotykamy się na różnych imprezach. Mnie, w sekcji plastycznej, w której przez cały czas byłam od początku 2007 r. kierowniczką, nie zabrakło współpracy szczególnie z sekcją poetycko-literacką. Oni wydają wiele tomików – wena ich nie opuszcza, a ja mam to przeczytać, żeby zilustrować (już dużo tego było). Mamy też swoje wystawy obrazów, rzeźb. Również poza Rzeszowem. Odbywa się to w domach kultury, urzędach, bibliotekach, także z dziećmi w rzeszowskim Młodzieżowym Domu Kultury. Jeszcze więcej wystaw jest organizowanych w klubie plastyka amatora przy WDK. Pierwsze czwartki miesiąca są poświęcone pracy twórczej. Z klubu co roku wyjeżdżamy na plenery. Korzystamy też z zaproszeń Gminnych Ośrodków Kultury. Biorę udział w wystawach i konkursach ogólnopolskich. Otrzymałam wiele nagród. Jestem też członkiem Klubów Seniora – przy Osiedlowym Domu Kultury na os. 1000-lecia i PTTK, gdzie już z braku czasu i zasobów finansowych nie jestem w stanie codziennie korzystać z wyjazdów na wycieczki. Nie ma takiego obowiązku. Każdy sam decyduje, co gdzie i kiedy odwiedzi. Raz w miesiącu spotykamy się na wykładzie z historykami sztuki, globtroterami, oglądamy filmy z podróży. W Osiedlowym Domu Kultury jesteśmy bardzo zaangażowani. Przez cały rok spotykamy się nie tylko raz w tygodniu – z urozmaiconym programem. Jest organizowanych wiele wycieczek i cotygodniowe zabawy, wieczory poetyckie, rocznicowe, wystawy plastyczne. Najbliżsi są mi Kresowiaci, tak przez moje zainteresowania Klub Plastyczny – kiedyś też istniał przy Civitas Christiana, gdzie jestem członkiem – wszędzie, średnio od pół wieku. Od 8 lat przekazuję obrazy na aukcje dla hospicjum dla dzieci. Po wysta-

wie w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej są sprzedawane. Za te działania otrzymałam złotą odznakę na jubileuszu RSTK od Ministra Kultury, a w kwietniu 2017 wręczono mi Złoty Krzyż Zasługi od Prezydenta RP. Przyszłość jest nieprzewidywalna, nie wiem, co jeszcze może się przydarzyć.

**Słyszałem, że jedna z przyjaciółek z RSTK pisze o pani książkę. Zapewne mieszkając w Rzeszowie (stąd blisko do Lwowa) niejedną raz odwiedziła Pani rodzinne strony. Czy dotarła pani na ul. Bukową, do miejsca gdzie stał dom otoczony „pięknym ogrodem”? Mówię „stał” w czasie przeszłym, bo to gniazdo rodzinne, otulone ciepłymi wspomnieniami od dawna nie istnieje...**

Wspomnienia są też tragiczne – o czym już mówiliśmy. Wielokrotnie odwiedzałam Lwów z wycieczkami dla wspomnień historycznych tego miasta i kultury. Bywało się w teatrze. Co roku z Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wyjeżdżamy na zaproszenie ks. Piotra Smolki, proboszcza przy kościele św. Piotra i Pawła w Przemyslanach, na odpust 30 czerwca. Zabieramy ze sobą dary na pomoc dla potrzebujących. W tym celu namalowałam dla kościoła dwa obrazy: św. św. Piotra i Pawła oraz „Jezu, ufam Tobie”. Jednak jadąc przez Lwów w obie strony nie udało mi się dotrzeć do ul. Bukowej. Miałam za mało czasu. Jak to tam teraz wygląda, oglądałam w internecie. Nic mi to nie zwróci... oprócz wspomnień – sielskiego dzieciństwa oraz przykrych lat wojny, związanych z tym drogim dla mnie miejscem. Z rodzin kochanych osób też nikogo już nie ma, żyją jedynie w pamięci.

**Czego należy życzyć osobie wyjątkowej, ruchliwej, pogodnej i stale się gdzieś śpieszącej, która imponuje niezwykłą żywotnością? Porusza się po ulicach Rzeszowa z wdziękiem dwudziestolatki.**

Aby pamięć nie zawodziła, „bo co w tym wieku mogę chcieć” – tak mi powiedział mój lekarz pierwszego kontaktu. Robię wszystko to, co muszę i do tego lubię, aby pomagać innym, na ile mnie stać. Tylko i wyłącznie swoją pracą – poświęceniem.

**Dziękuję Pani za rozmowę.**

Sławomir Gowin

# SZKATUŁKA NA SERCE

Każdej wiosny we Lwowie miewam jakąś osobistą okoliczność z Marianem Hemarem. Pewnie bierze się to stąd, że on, urodzony 6 kwietnia, właśnie wtedy specjalnie zaznacza swoją nadprzyrodzoną obecność. Trudno więc nie słyszeć jak wiatr trawestuje go ukradkiem:

Wierszami muszę się bronić,  
Rozczulać i uśmiechać,  
Wierszami muszę do was  
Codziennie na nowo jechać,

By w szepcie moich wierszy,  
W rymów moich szeleście  
Została iskrą w popiele  
Pamięć o moim mieście

Czerpiąc z lektury każdy poważny „kresofil” – albo ściślej: „leofil” – zdawałby się znać jego miasto na wrywki. Jednak taki sentymentalny landszafcik warto przyłożyć czasem do rzeczywistości, by zobaczyć, jak się zabarwi w żywym, lwowskim słońcu. Zrobiłem to, nie wiadomo który już raz, właściwie z przyczyn zgoła prozaicznych, albowiem po wielu tygodniach dochodzenia, pod jakim adresem Hemar się urodził, chciałem spojrzeć na dobrze mi znaną, choć póki co anonimową kamienicę tryumfalnym okiem odkrywcy. I oto – tuszę, że niejako w nagrodę – dane mi było dostrzec tego dnia coś jeszcze: małe, osobiste miasteczko poety, które, jakkolwiek pompatycznie to zabrzmia, w sercu mieści się z łatwością.

Od dawna przekonują eksploratorów-debiutantów, żeby puścili zelówki wolno, a zawsze dojdą, gdzie należy, gdzie trzeba albo gdzie warto, bo Lwów jest skomponowany szkatułkowo. W dużym mieście ukryto mniejsze, w nim jeszcze mniejsze, i mniejsze, i znowu mniejsze, a tych mikromiasteczek nawet stu Banachów by się nie doliczyło.

Kto nie wyszlifował lwowskich bruków dostatecznie, może „na papierze” nie w pełni moje doznania podzielić. Jednak jeśli

zechce przekonać się, co Hemar miał na myśli powiadając, że „we Lwowie wszystko blisko serca leży”, niech bawiąc tam kiedy tę peregrynację odbędzie.

Ruszyć najlepiej ze skrzyżowania, które leży doprawdy niczym krzyżyk zaznaczony na serdecznej mapie „miasteczka Hemara”. Z dawną ulicą Jagiellońską, obecnie Gnatiuka, spotyka się tutaj 3 Maja (Siczowych Strzelców) i Rejtana (dziś Kurbasa). Taka sama stąd odległość – około dwudziestu metrów – do trzech arcyważnych dla poety miejsc: urodzenia, „pomieszkania” i miejsca pierwszych sukcesów artystycznych, dawnego „Casino de Paris”, dzisiaj teatru imienia Łesa Kurbasa. Jeśliby kiedyś „wdzięczny naród polski” chciał i mógł postawić Hemarowi pomnik we Lwowie, to powinien go umieścić gdzieś tutaj.

W notach biograficznych pisze się najczęściej, że Jan Heschel, późniejszy Marian Hemar, urodził się przy ulicy Jagiellońskiej pod numerem 11. On sam często wspominał ten adres z wielkim wzruszeniem. Owszem, to miejsce gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość, jednak na świat przyszedł parę kroków dalej, przy 3 Maja pod numerem 8. I to właśnie moje wiosenne odkrycie. Rodzice, Ignacy i Berta Heschelowie wyprowadzili się stąd z ledwie rocznym Janem Marianem, dlatego miejsce narodzin nie przetrwało w pamięci poety i nie zapisało się wierszem. Jednak to sam środek miasta jego dzieciństwa, które, jeśli wybrać się na spacer szlakiem dorastającego Hemara, okaże się ułożone poręcznie jak staromodna bomboniera.

W 1966 roku Hemar obchodził 65 urodziny. Tą datą opatrzył napisany wtedy wiersz, w którym przenosił się...

...Na Jęgiellońską, pod numer  
Jedenasty, gdzie nasza

Stara brama czekała,  
Bym przeszedł na podwórze  
Rozległe i spojrział w górę,  
Na drugie piętro.

W górze

Na ganku, pod samym dachem,  
Nad dawnym oknem moim  
Jaskółki miały gniazdko,  
Czy jeszcze jest? Z niepokojem...

Patrzę w górę...



Jaskótek dzisiaj nie ma, ale kamienica przetrwała. Nie zmienił się układ mieszkań, brama prowadzi do działającego w podwórzu Teatru Młodego Widza, a całym otoczeniem zawładnęli malarze, dekoratorzy i performerzy. Za dnia panuje tutaj kompletna cisza. Podobnie było zapewne wtedy, gdy w sierpniu 1958 roku przyszła z kwiatami Mira Zimińska, widzieli się z Hemarem niedługo wcześniej w Londynie. Niebawem pisała do niego: „Byłam u Ciebie. Weszłam do bramy, potem na schody. Dotknęłam klamki, ale nie weszłam. Stałam w korytarzu długo. Wszystko sobie z uporem przypomięłam. Wszystkie moje tam wizyty i nawet smak jakiegoś najlepszego w świecie rosółu. Zostawiłam kwiaty na progu, no bo gdzie je zanieść?”.

Kwiaty były dla uczczenia pamięci matki poety. Mira Zimińska dobrze знаła dom i próg przy Jagiellońskiej, jednak nie w tych drzwiach Hemar żegnał się matką – i ze Lwowem – 10 września 1939 roku, lecz na trzecim piętrze przy Pełczyńskiej 10. Berta Hescheles zamieszkała tam z córką już po wyjeździe syna do Warszawy. Hemar matki już nigdy nie spotkał ani nie dowiedział się, w jakich okolicznościach zginęła.

Pod numerem 11, pod oknami Heschelesów przez kilkadziesiąt lat, do 1941 roku, swój teatr prowadził Jakub Ber Gimpel. Był to teatr żydowski z założenia grający w jidisz, ale na scenie żydowski folklor i humor splatały się z bałakiem, rozmaitej proveniencji polszczyzną, wszechobecnym ukraińskim, a w dodatku chętnie czerpano – zwłaszcza muzycznie – z lekkiego repertuaru niemieckiego. Przez ten niezwykle, rozśpiewany i roześmiany świat codziennie przeprawił się mały Janek Hescheles.

Cztery strony świata to we Lwowie zawsze o kilka za mały. Z Jagiellońskiej widać było kuszące centrum miasta z wieżami katedry i kościoła, choć jeszcze bli-

żej było do Teatru Miejskiego, którego Hemar był rówieśnikiem. Wystarczyło też króciutki spacer przez pasaż Hausmanna (dziś gwarna Krzywa Lipa), żeby trafić wprost na Sykstuską (teraz Doroszenka) pod numer 9. Tam jeden z jego wujów prowadził salon fortepianów, i tam przyszły kabareciarz brał pierwsze lekcje muzyki. Jeśli pobiegł w przeciwną stronę, do placu Smolki (dziś Hryhorenki), mógł zajrzeć do działającego tam kino-teatru lub minąć parę wznoszących się ulic, by trafić do domu dziadka na Brajerowskiej (dziś Łepkiego). Którąkolwiek drogę by wybrał, zawsze w ciągu minuty mógł się znaleźć na spacerze w Ogrodzie Jezuickim czy na uniwersytecie, który zresztą, już jako studenta, bynajmniej nie pochłonał go bez reszty.

Znacznie chętniej uczył się wcześniej, jeszcze w VII Lwowskim Gimnazjum imienia Tadeusza Kościuszki przy ulicy Sokoła 8. Idąc tam z domu miał do pokonania zaledwie kilka spokojnych ulic. Dziś dawna szkoła, w której mieści się biblioteka akademicka, pachnie odświeżoną elewacją.



Kamienica numer 8 przy ul. 3 Maja, dziś Strzelców Siczowych. Tutaj urodził się Marian Hemar, fot. Sławomir Gowin

Patrząc w zaciszną uliczkę Kowżuna, bo tak się teraz nazywa, trudno sobie wyobrazić gwarne stadka młodzieńców przemierzające te wąskie chodniki przed blisko stu laty. A właśnie wtedy miało miejsce niecodzienne spotkanie. Hemar pisał po latach w Londynie, jak to...

...Idzie student z gimnazjum  
Przy ulicy Sokoła,  
Mały bękart, na niego  
Kiedyś Muza zawoła:

„Ty, Maniek! Stój” – rozkaże  
Małemu bękartowi:  
„Pisz do śmierci piosenki!  
A szczególnie o Lwowie!

W „Kościszce” muzy były, jak się zdaje, na codziennym wyposażeniu. Uczyli tam przecież ludzie o nazwiskach doprawdy wiekopomnych. Literaturę wykladał Tadeusz Pini, znakomity krytyk, wydawca, literaturoznawca, obok niego równie wybitny i sławny Juliusz Kleiner. Filozofią zajmował się Władysław Witwicki, późniejszy ojciec polskiej psychologii, teoretyk sztuki i artysta. Wielką postacią był także, dziś zapomniany, Franciszek Ksawery Smolka, wnuk tegoż Smolki, który pod domem Hemara miał plac swojego imienia z pomnikiem pośrodku. Franciszek Ksawery, filolog klasyczny, admirator Owidiusza, był dociekliwym badaczem i autorem nietuzinkowych publikacji. Dość wymienić znamienity tytuł *Pod znakiem lekkiej muzyki. Produkcje kabaretowe w Egipcie rzymskim*. Tę pracę, efekt wieloletnich dociekań, opublikowano nakładem dyrekcji gimnazjum w 1930 roku. Smolka słynął zresztą z zainteresowań błędzących z dala od oficjalnych naonczas nurtów przyzwoitej edukacji. Trafiła mi się kiedyś w antykwaracie jego broszura *Z mętów życia. (Obrazek rodzajowy z życia Egiptu w III w. a.C.)*.

Na młodym Hemarze musiał wywrzeć silne wrażenie, skoro po dziesięcioleciach spędzonych z dala od klasycznych zajęć, całkiem udanie tłumaczył ody Horacego i *Sztukę kochania* Owidiusza.

Dla dalszych losów Hemara ważniejsze było zapewne spotkanie z Adamem Zagórskim, który po studiach kilka lat pracował w VII Gimnazjum, później zajmując się już tylko kabaretem, publicystyką i teatrem. Pisał na scenę, dla filmu, tłumaczył, przede

wszystkim zaś kolekcjonował piosenki lwowskie. Spisywał je od batiarów, ulicznych grajków, zbierał po tancbudach i knajpach, by w końcu jako pierwszy ułożyć i opublikować ich zbiór. Sam również napisał dziesiątki utworów lekkiej muzy. Kiedy Hemar łamał pióro w juweniliach, Zagórskiego we Lwowie wszędzie było pełno. W 1912 roku był jednym z założycieli i autorów kabaretu „Wesoła Jama”, ale jego znakomite teksty można było spotkać także w najpoważniejszych czasopismach krytycznych. Był zarówno świetnym satyrykiem, jak i wytrawnym krytykiem, wrażliwym tłumaczem i zdolnym scenarzystą. Podobnie wszechstronnym talentem obdarzony był jego uczeń, któremu tu właśnie, na ulicy Sokoła muza poleciła poza wszystkim innym pisać...

...Piosenki proste, jakby  
Sama lwowska ulica  
Pisała słowa mroku  
Do muzyki księżycy

Wobec tego on, wierny muzie, gdziekolwiek jest...

...do śmierci się stara  
I pisze – pisze piosenki –  
„Słowa Mariana Hemara”

W lwowskiej bombonierce wszystko poukładano tak, że spod gimnazjum dostrzec można było skrzyżowanie Sokoła z Chorążczyzny. Tuż za nim pod adresem Sokoła 4 stał, i stoi nadal, budynek redakcji dziennika „Wiek Nowy”. Na jego łamach 26 listopada 1919 roku Hemar zadebiutował wierszem *Wstęp do bajek*. Przewrotnej pikanterii dodaje fakt, że w czasach sowieckich miał tu siedzibę lwowski oddział kremlowskiej „Prawdy”.

Skrzyżowanie z Chorążczyzny (teraz Czajkowskiego) ma i takie znaczenie, że jeśli, zamiast pójść prosto do redakcji, skręcimy w lewo, to tuż za rogiem pod numerem 7 zobaczymy obecną filharmonię. W szkolnych czasach Hemara było tutaj między innymi kino „Apollo”, służące swoją salą wielu ważkim wydarzeniom kulturalnym. W jakimś sensie na tej sali rozstrzygnęły się artystyczne losy Hemara – ale o tym później. Póki co przytoczymy londyńskie wspomnienie poety: *będąc jeszcze w gimnazjum, w tajemnicy przed profesorami i ojcem, i matką uczyłem się aktorstwa w instytucie Wandy Siemasz-*



Widok kamienicy przy ulicy Jagiellońskiej 11, dzisiaj Hnatiuka, w której Hemar spędził dzieciństwo i młodość, fot. Sławomir Gowin

*kowej. Na popisie szkolnym grałem Rizzia w „Marii Stuart”. Siemaszkowa prowadziła zajęcia dramatyczne właśnie w budynku, w którym dzisiaj sale prób mają lwowscy filharmonicy. Hemar mógł więc urywać się na ćwiczenia aktorskie tuż po lekcjach, spóźniony powrót do domu tłumacząc dłuższym niż zwykle spacerem po ogrodzie jezuickim lub jakąś nieoczekiwaną przygodą, o którą na lwowskich ulicach nie było trudno. To przecież kilkanaście metrów od wrót filharmonii zdarzył się tragiczny wypadek, który młody Hemar opisał w niby to batiańskiej piosence:*

Przyjechał do Lwowa akrobata Mucha  
Spadł z dachu na ziemię i wyzionął  
ducha...

Skończywszy gimnazjum Hemar zaczął studiować na wydziałach medycznym i filozoficznym uniwersytetu, wkrótce jednak zgłosił się do wojska. Po zwolnieniu ze służby na studia wrócił już bez wielkiej pasji, i ostatecznie nie myślał ich kończyć. Muzy opanowały go bez reszty z tym większą łatwością, że zdawały się czyhać na każdym kroku. Przy ulicy Zimorowica 5 (obecnie Dudajewa), a więc właściwie na rogu Sokoła, mieściła się wtedy redakcja tygodnika

satyrycznego „Szczutek”. Fakt, że drukowano go dwa kroki dalej, znów przy Sokoła 4, wygląda na żart, a jednak to prawda.

Ówczesny redaktor naczelny Henryk Zbierzchowski wpuścił na łamy zdolnego adepta. „Szczutek” zdobywał coraz większą popularność, a młody Hemar wraz z nim. Z redakcji wystarczyło dosłownie kilka kroków, by znaleźć się na Ossolińskich, gdzie pod numerem 10 od początku XX wieku działała scena wodewilowa. Po wojnie bardzo podupadła. Rozrywkowym wyzwaniom nowych czasów miał sprostać teatr artystyczno-literacki „Ul” pod kierownictwem Wilhelma Raorta, który zainaugurował tutaj działalność 6 września 1921 roku. I właśnie w tym dniu dwudziestoletni Marian Hemar zadebiutował na jego deskach jako artysta kabaretowy.

Ta część miasta niemal się nie zmieniła. Z „Ula” przetrwała frontowa kamienica, teatralnie zdobiona klatka schodowa, a nawet schody i drzwi wiodące ongiś na widownię. Dziś prowadzą już donikąd. Przestrzeń całkowicie przebudowano dla szkoły baletowo-tanecznej. Wchodzi się do niej inną drogą i mimo że to instytucja było nie było artystyczna, próżno szukać atmosfery lat 20., gdy na deskach „Ula” pierwsze kroki, obok



Podwórko Hemara, fot. Sławomir Gowin

Hemara, stawały m.in. Anda Kitschmann i Hanka Ordonówna.

Pod koniec stycznia 1922 roku Zawodowy Związek Literatów we Lwowie zaprosił obiecującego poetę na „Wielki Wieczór Autorów”, można powiedzieć, że stosunkowo daleko, bo w sali ratusza. Dwudziestojednoletni Hemar zasiadł na lwowskim Parnasie obok Jana Kasprowicza, Stanisława Wasylewskiego czy Józefa Jedlicza. Kilka miesięcy później wydał pierwszą książkę *Dzik i świnia*, złożoną z wierszy ogłaszanych wcześniej w „Szczutku”. Uskrzydłony miejscową sławą zaczął pisać dużo i różnorodnie. Wiersze, felietony, przekłady, recenzje i relacje kulturalne ogłaszał najczęściej w „Gazecie Lwowskiej”, której redakcja – jakże by inaczej – mieściła się w pobliżu, przy Chorążczyzny 31, a więc niemal vis à vis wejścia do „Ula”.

Żeby tę mapę wyrysować do końca, nie można zmilczeć, iż wszystkie zaznaczone dotąd miejsca leżą tuż (lub spotykają się z nią, jak Chorążczyzny) obok ulicy Akademickiej (dziś Prospekt Szewczenki). Tam, pomijając wszelkie inne atrakcje słynnego corso, na rogu z Fredry (nazwa przetrwała) mieściła się słynna kawiarnia „Roma”, w której Hemar, jak sam wspomina, *dumnie się*

*snobował*, dostępując przy tym biesiadnych wtajemniczeń pod fachowym okiem Henryka Zbierzchowskiego czy Ostapa Ortwin. Z pobliza tej mekki różne fazy dojrzewania młodego artysty – jeśli za „źródło” wziąć wiersz *Pomnik* – osobiście śledził Aleksander Fredro:

Raz mnie widział, gdy niosłem w głąb  
Romanowicza  
Pod peleryną kwiaty... mój miłosny aport,  
Tam moja pierwsza miłość mieszkała  
dziewicza.

Nazywała się Hala. Halina Rapaport.

Widział mnie przed kawiarnią, z blaskiem  
wkoło głowy,  
I słyszał jak mi serce waliło łoskotem.  
Czytałem po raz setny, w gazecie „Wiek  
Nowy”,

Pierwszy wiersz podpisany „Maryan  
Hemar”. Potem

Koło niego chodziliśmy w nocy  
z Brunonem  
Jasieńskim. Noc, pamiętam, że była  
gwiazdzysta.

Bruno, z monoklem w oku,  
z czerwonym patronem.  
Bardzo mi imponował jako komunista.

Wkrótce Hemara można było spotkać na wszystkich lwowskich scenkach, z debiutanta szybko przeistoczył się we wziętego satyryka. W najbliższych latach, wspierany przez równie zdolnych kolegów, udanie rywalizował z kabaretowymi weteranami. Podnosił sztukę kabaretu na niespotykane dotąd wyżyny literackiej finezji. Swoje najślynniejsze programy wystawił 1924 roku w „Casino de Paris”. Teksty z *Rumaka uśmiechniętego* i zorganizowanej miesiąc później *Wielkiej reduty galganiarskiej* przeszły do historii najwyższych lotów humor artystycznego. Latem tego roku Hemar założył teatrzyk pod wiele znaczącym tytułem „Zdechły Kot”. Działo się to, ma się rozumieć, kilkadziesiąt metrów od jego rodzinnego domu, przy Rejtana 3. „Casino de Paris” działało tam od 1910 roku, przez wiele lat także pod nazwą „Bagatela”. Niemal wprost z tej sceny ruszył na udany podbój Warszawy. Zresztą na tę i na inne ważne lwowskie deski wracał później wiele razy. W swoim serdecznym miasteczku promieniał wtedy w najlepszym artystycznym towarzystwie epoki jako rozchwytywany autor-gwiazdor lat 30.

Drogę do gwiazd rozpoczął we wspomnianym już kinie „Apollo”. To tam jesienią 1924 roku wystąpili, owiani sławą i uwielbieniem, poeci „Skamandra”. *Przyjechali we czterech do Lwowa z wielkim wieczorem autorskim – wspominał ten wieczór Hemar – nie takim, jakie my, lokalne poeciątka, urządzaliśmy po małych salkach, przyjechali z ogrom-*

*nym fasonem, zrobili wieczór w lwowskiej filharmonii, w sali kina Apollo, sala była nabitą na osiemset czy tysiąc osób, pierwszy raz we Lwowie pokazali się we czterech: Jan Lechoń, Julian Tuwim, Antoni Słonimski i Kazimierz Wierzyński, rok był 1924. Mówili wiersze. (...) Poznałem się z nimi wtedy. Wszyscy, Tuwim najuprzejmiej, zachęcali mnie, bym wpadł do Warszawy. W rok po tym wieczorze byłem z nimi wszystkimi na ty, zaczęła się nasza przyjaźń.*

W rok po tym wieczorze mieszkał już w Warszawie, opuściwszy miasteczko, w którym przeżył 24 lata. W stolicy miał przeżyć, intensywnie i pod każdym względem bogato, kolejnych 14. Najdłużej przyszło mu błąkać się na obczyźnie – umarł po 33 latach emigracji. Można jednak powiedzieć, z nieco batiarską przesadą, że niezłomnym bardem Lwowa został tuż za jego rogatkami. Bo chociaż od rodzinnego miasta nie dzieliły go jeszcze granice ani żelazne kurtyny, już w początkach warszawskiej kariery napisał piosenkę *Tyle jest miast*, w której Lwów uhonorował czułą inwokacją: *O, miasto bez-troskich ludzi, rozśpiewanych, pogodnych słów...* Po czym wiekopomnie spuentował: *chcesz szczęśliwym być – wróć do Lwowa!*

Później, już w Londynie, powstały dziełki jego utworów, które składają się dziś na lwowski kanon. W każdym z nich zaszyto gryps, że reszta świata leży na człowieku niedopasowana niczym battle dress. A Lwów jak szkatułka – na serce w sam raz.



Tutaj, z najwyższego piętra wychodziły na podwórze okna rodzinnego domu Hemara, fot. Sławomir Gowin

# Poprzedniczka Marii Konopnickiej



Tak nazwał ją w 1913 r. Adam Stodor, edytor tomu jej wierszy i autor obszernego szkicu biograficznego, podkreślając jej wrodzony talent „z Bożej łaski”, ideowość, kryształowo czystą etykę i gorącą miłość do Ojczyzny. Maria Bartusówna (1854–1885), bo o niej tu mowa, została jednak zbyt szybko, choć nie całkowicie zapomniana, przemykając jedynie w opracowaniach historyczno-literackich, czasem tylko stając się obiektem czyjejś fascynacji, jak tego dowodzi piękny internetowy wpis *Słabowita siłaczka* Filipa Makowieckiego w *Mapie kultury*.

Córka malarza, przedwcześnie zmarłego na gruźlicę Stanisława Bartusa, wnuczka dziennikarza i wydawcy Jana Juliana Szczepańskiego, chrzestna córka pisarza i dziennikarza Jana Zachariasiewicza, podopieczna Antoniego Odyńca... Debiutowała jako 16-latką utworem *Trzy obrazy Sybiru*, pierwszy tomik wydała w 1876 r. nakładem Księgarni Władysława Belzy. Kolejne przy-

szły w 1880 i 1884 roku. Młodą autorkę otoczyła szybko aura uznania i życzliwości, w tym ze strony Władysława Sabowskiego, Józefa Rogosza, Władysława Ordonia czy hr. Róży Krasińskiej, od zachwytów tych zdecydowanie odżegnał się natomiast Bolesław Prus, wręcz napastliwie krytykujący „oklepaną treść” jej wierszy – przy uznaniu dla ich pięknej formy.

Niestety, odziedziczona choroba płuc i nienajlepsze warunki bytowe (Bartusówna bowiem zarabiała na życie jako nauczycielka wiejska, m.in. w Sokolnikach k. Lwowa i Nienadowej k. Dubiecka) skróciły jej życie. Zmarła we Lwowie 2 października 1885 r. Tłumnie odprowadzano ją na cmentarz Łyczakowski; posypały się nekrologi i wyrazy żalu.

Zaczęła się też snuć – legenda. Nieprawdziwe były opowieści o śmierci z głodu lub nędzy (Wilhelm Feldman), prawdziwe zaś – o zbyt forsownej pracy. Jej talent uważano za niewykorzystany, nawet – zwichnięty – z powodu niezbyt szczęśliwego dzieciństwa i braku stabilizacji. Talent ów ceniono wysoko; jak pisał Adam Stodor, *najwybitniejszą spomiędzy ówczesnych poetek, a może i najwybitniejszym talentem wśród współczesnych poetów, była Maria Bartusówna. Uważać ją można prócz tego za poprzedniczkę niejako Marii Konopnickiej, zaczynającej swą poetycką drogę w czasie, gdy twórczość Bartosówny dochodziła do zenitu*.

Wcześniej próbowano uczcić ten młodo zgasły talent. Staraniem Antoniny Machczyńskiej w kościele Dominikanów umieszczono tablicę pamiątkową. Jeszcze w 1885 r. zawiązał się komitet, mający poprzez prenumeratę zbierać środki na wydanie pism poetki, równocześnie zaś Agaton Giller proponował przyjaciółce Bartusówny, Józefie Jaroszyńskiej, wspólne wydanie biografii i wierszy poetki, inicjatywy te jednak nie doszły do skutku. W 1905 i 1908 r. ukazały się biograficzne szkice poetki autorstwa B. Kąsinowskiego i A. Mikulskiego. Skutecznie o pamięć Marii Bartusówny zabiegała natomiast grupa jej przyjaciółek i miłośniczek twórczości. To

właśnie one: Józefa Jaroszyńska, Zofia Listowska, Helena Dybowska, Maria Jarmund i Maria Romanowiczowa doprowadziły najpierw do ufundowania pomnika nagrobnego poetki, następnie zaś do opracowania przez Adama Stodora cytowanej tu biografii, szeroko wykorzystującej papiery rodzinne i wydania jej w 1914 r. nakładem Macierzy Polskiej we Lwowie wraz z obszernym wyborem wierszy Bartusówny.

Nie wiem, w jakim stanie jest obecnie jej grób na cmentarzu Łyczakowskim, w przewodniku Aleksandra Medyńskiego, opisany jako *pomnik z granitowych głazów, w piramidę ujętych* (pole 53). Wyrzyto na nim wiersz Teofila Lenartowicza, z którym młoda poetka korespondowała:

Chateńkę, jakiej nie miała sierota,  
 Wzdychając za nią aż po życia kres,  
 Wznoszą jej dłonie miłych sióstr i braci...  
 Księgi jej pieśni nie na wagę złota  
 Ciężą – a na wagę łez.  
 Za takie księgi sam Bóg w niebie płaci  
 I z niemi ona tam wysoko w górze  
 Stoi nad Tobą, łaskawy przechodniu  
 I jako dzwonek, co rozpędza burzę  
 Dzwoni nad Polską w tych straceńców  
 chórze,  
 Którzy się jawią i nikną dzień po dniu.

Tomiki poezji Marii Bartusówny rzadko pojawiają się dziś na antykwarecznych aukcjach, stosunkowo niewiele odnotowuje ich Centralny Katalog NUKAT. Tym bardziej więc warto wydobyć spośród owych lirycznych *Wspomnień, Tęsknot, Skarg, Żalów i Zwątpień* dwa utwory, które świadczą o wielkiej poetyckiej wrażliwości Marii Bartusówny, a bardziej wytrzymały próbę czasu. Pierwszy z nich powstał w Kołomyi w 1882 r.

### **Do Prutu**

Siny Prucie! – tęskny Prucie!  
 Gór pieśniarzu stary!  
 Jakież dziwne w fal Twych nucie

Uroki i czary!

Nastroiłeś srebrną lutnię  
 Na przeszłości tony,  
 Co pielgrzymkę wita smutnie,  
 Jak pogrzebne dzwony!

Oj, lirniku siwobrody,  
 Siadłeś na mogile,  
 A z szumami twojej wody  
 Płynie jęków tyle.

Że mi łzami serce wzbiera,  
 Jak w minione lata...  
 Och! Bo serce nie umiera,  
 Nawet w kaźni świata.

I jak dawniej drży w mem łonie  
 Niespokojnym biciem,  
 Tylko – chłód oświadczył skronie,  
 Chłód, co zwie się – życiem!

I jak dawniej roje pieśni  
 Wkoło niego dźwięczą,  
 Tylko szczęścia sen się nie śni  
 Przepasaną tęczą!

Tylko pękł wiązający z niebem  
 Łańcuch tajemniczy  
 I powszednim dni mych chlebem  
 Dziś – uśmiech gorczy!

A ty w dawne dzwonisz tony  
 Na lutni młodzieńczej,  
 Tylko – wiosną maj zielony  
 Brzegów ci nie wieńczy.



Tylko szron jesienny rosi  
Jarzębin korale  
I wiatr uschły liść unosi  
Na zmałcone fale...

Tylko – wron urągowiska  
Nad pożółkłe łany,  
Tylko zimy groźba bliska  
W chmurze ołowianej!

Zresztą, nic się nie zmieniło...  
Czemuż tak żałośnie?  
Starcze... nam się może śniło  
O szczęściu... i wiośnie?

Po cóż wzrok obracać smętny  
Na gasnące zorze?  
Dalej – Ja w świat obojętny,  
Ty – w dalekie morze!

Drugi wiersz powstał we Lwowie 4 lipca 1884 r., na rok przed śmiercią młodej poetki. To przepiękna modlitwa do patrona Lwowa, błogosławionego Jana z Dukli, którego figurę na kolumnie przy kościele Bernardynów musiała autorka wielokrotnie mijać. Data po-

wstania wiersza jest nieprzypadkowa: w roku 1884 mijało 400 lat od śmierci niezwykłego zakonnika, który miał ocalić Lwów przed wojskami Chmielnickiego, w dniu 8 lipca obchodzone jest zaś wspomnienie liturgiczne Jana z Dukli. W wierszu Marii Bartusówny odnajdujemy też odległe echo tej idei, która piętnaście lat wcześniej, w sierpniu 1869 r., przyświecała twórcom Kopca Unii Lubelskiej, zamieszczającym na kamieniu węgielnym napis: *Wolni z wolnymi, równi z równymi. Polska, Litwa i Ruś zjednoczone Unią Lubelską*. Tu zaś – jednoczyć miał wspólny, niezwykły patron:

## Modlitwa do bł. Jana z Dukli

Wielki i święty Polski patronie,  
Stróżu jej chwały, cnoty i wiary,  
Ty, coś w cudownej stając obronie,  
Zachwiał jej wrogów butne sztandary,  
Dziś, gdy nas wkoło ciemność otacza,  
Gdy bezsilnemi płaczymy łzami,  
Gdy rozum bluźni, a duch rozpacza,  
Patronie Polski! Módl się za nami!

Patronie Rusi! Co ręka w rękę  
Kroczyła z nami przez zasług pole,  
Z nami składała modlitw podziękę,  
Z nami dzieliła dolę – niedolę!  
Dziś, gdy jej zmysły czarny duch mąci,  
Nim czoło piętnem Kaina splami,  
Nim zaślepienie w przepaść ją wtrąci,  
Patronie Rusi! Módl się za nami!

Błogosławiony Patronie Litwy!  
Wielkiej wytrwaniem, wiarą zwycięskiej,  
Co się nad ziemią duchem modlitwy,  
Ofiary duchem wzniosła nad kłęski!  
Dziś, gdy ją krwawi u stóp ołtarza  
Dziki morderca, grożąc mękami,  
Gdy jej relikwie, dysząc znieważa –  
Patronie Litwy, módl się za nami.

Nieszczęśliwego ludu Patronie,  
Co błądził wiele – lecz kochał więcej,  
Spójrzyj! Błagalne wznosimy dłonie  
W ufności dawnej, w wierze dziecięcej!  
Dziś, gdy nad Tobą blask aureoli,  
Gdyś u stóp Stwórcy, gdyś z Aniołami,  
A my – tułacze, a my – w niewoli  
Patronie Prawdy, módl się za nami!





**Tomasz Wasilewski**

# Zegar – Przeznaczenie

## (Część II)

**B**ezpośrednim bodźcem do konkretnego działania była wizyta przedstawicieli gospodarczych Lwowa na Wystawie Jubileuszowej w Pradze w 1891 roku. I tak już we wrześniu 1891 roku na II Zjeździe Kupców i Przemysłowców we Lwowie zaapelowano o przyspieszenie terminu Wystawy na 1894 rok. Idea ta została podchwycona przez prezesa Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego Adama ks. Sapiechę, z którego inicjatywy doszło do zebrania we Lwowie (28.06.1892) przedstawicieli gospodarczych i politycznych, na którym uchwalono „Statut Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie w 1894 roku”<sup>1</sup> oraz powołano komitety organizacyjne. Przewodniczącym Głównego Komitetu Wystawy został Adam ks. Sapieha, a jego zastępcą wiceprezydent Lwowa dr Zdzisław Marchwicki (później również dyrektor Wystawy). Od samego początku było jasne, że ta wystawa nie będzie tylko kolejną z serii wystaw gospodarczych, ale również wydarzeniem politycznym o największym znaczeniu. Postanowiono bowiem zgromadzić nie tylko wystawców z całej Ga-

licji (Wschodniej i Zachodniej), lecz także Polaków zamieszkałych w innych zaborach (zwłaszcza za tzw. „kordonem”, tzn. z zaboru rosyjskiego), jak i w innych krajach emigracji polskiej (m.in. w Stanach Zjednoczonych).

Czas przygotowania do Wystawy przypadł również w okresie wzmożonych wysiłków mających na celu pojednanie z narodem ukraińskim<sup>2</sup>. Od roku 1889 pod auspicjami namiestnika Galicji Kazimierza hr. Badeniego doszło bowiem do porozumienia z częścią przedstawicieli Rusinów (jak wówczas ich nazywano) reprezentowanych przez Juliana Romańczuka i K. Teleszywskiego (tzw. „ugoda badeniowska”). Dzięki tej ugodzie powstało gimnazjum rusińskie w Kołomyi (marzec 1892) oraz klasy „paralelki” w Przemyślu, jak również wprowadzono język rusiński jako język krajowy (w zapisie fonetycznym). W tymże 1892 roku stworzono też na Uniwersytecie Lwowskim Katedrę Historii Powszechnej z ruskim językiem wykładowym. Na Wystawie zaowocowało to włączeniem Rusinów do komitetów organizacyjnych, jak również do powstania specjalnego Pawilonu Ruskiego. Sam namiestnik Badeni został honorowym prezesem Wystawy obok innych



Fasada Pawilonu Przemysłowego z basenem i wodotryskiem

dostojników Galicji (ks. Eustachy Sanguszko – marszałek krajowy) oraz władz wie-  
deńskich (ministrowie handlu i przemysłu).  
O randze, jaką chciano nadać Wystawie,  
świadczy fakt, że zaraz na pierwszym ze-  
braniu Głównego Komitetu (5.09.1892) za-  
proponowano, by patronat nad nią powierzyć  
samemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi  
I („bo nie masz lepszego i dobrotliwego  
patrona” – z mowy A. Sapiehy), co on na  
specjalnej audyencji (17.11.1892) „przyjął  
z radością”. Na dodatek wybrany termin  
przypadał w setną rocznicę bitwy pod Ra-  
clawicami (4.04.1794), która stała się wielkim  
symbolem walki narodu polskiego o wolność.  
Artysta – malarz lwowski Jan Styka wysunął  
pomysł, by uczcić to dziełem niezwykłym:  
monumentalną panoramą przedstawiającą  
przebieg tej wygranej bitwy przeciwko rosyj-  
skiemu najeźdźcy. W lutym 1893 roku Rada  
Miasta Lwowa oficjalnie zamówiła „Panora-  
mę Raclawicką”, a od sierpnia 1893 roku do  
maja 1894 roku zespół 10 wybitnych ma-  
larzy (m.in. Wojciech Kossak i Włodzimierz  
Tetmajer) pod kierownictwem pomysłodawcy  
zrealizował dzieło, które przeszło do historii.  
Trzeba było dla niego zbudować specjalny  
pawilon w formie rotundy, w którym cylin-  
drycznie rozpięto płótno żaglowe (specjalnie  
sprowadzone z Belgii) o 114 m długości i 15  
m wysokości! Jak z powyższego wynika,  
projektowana Wystawa przybrała rangę tak  
wysoką, że trudno było sobie wyobrazić coś  
bardziej wspaniałego i doniosłego. I właśnie  
w tym „wydarzeniu stulecia” brał udział nasz  
pradziad Wiktor Wasilewski.

Nie wiadomo dokładnie, od kiedy wie-  
dział on o przyspieszeniu terminu Wystawy.  
Prawdopodobnie od jesieni 1891 roku, ale  
dopiero w grudniu 1892 roku dowiedział  
się, co, jak i kiedy trzeba zrobić, by w niej  
uczestniczyć. W dniu 21.12.1892 roku bo-  
wiem na zebraniu Komitetu wykonawczego  
pod przewodnictwem Stanisława hr. Ba-  
deniego (późniejszego marszałka Sejmu  
krajowego – młodszego brata Kazimierza  
Badeniego – namiestnika) ustalono szcze-  
góły regulaminu. Wystawa miała się odbyć  
od 1 czerwca do 1 lub 15 października 1894  
roku. Każdy ze zgłaszanych eksponatów  
miał być przydzielony do jednej z 33 grup  
tematycznych obejmujących swoim zasię-  
giem wszystkie aspekty życia galicyjskiego:  
od kultury i sztuki, poprzez rolnictwo i leśnic-

two, do szeroko rozumianej działalności ręk-  
odzielniczej i przemysłowej. Ponadto utwo-  
rzono 34. grupę dla eksponatów szczególnie  
nowatorskich, które zostały opatentowane  
albo uznane jako tego godne. O zakwalifi-  
kowaniu i o ewentualnych nagrodach miały  
decydować Komitety sekcji.

Tak więc rok 1883 był dla Wiktora bardzo  
intensywny: nie tylko wyłożona praca nad  
wykańczaniem zegara, ale również załatwia-  
nie formalności i oczekiwanie na decyzję  
Komisji. Według taryfikatora „taksoy za miej-  
sce”, który przewidywał za „1 m<sup>2</sup> w budynku  
pod dachem, dostępnym ze wszystkich stron  
– 8 zł”, musiał on przy składaniu „arkusza  
kwalifikacyjnego” wpłacić 7,2 zł, co stano-  
wiło połowę całkowitej należności (14,4 zł).  
Wcale nie była to kwota zupełnie błaha.  
Prawdopodobnie najpóźniej już na jesieni  
dostał pozytywną odpowiedź ku swojej wiel-  
kiej radości. Z katalogu Wystawy<sup>3</sup> wynika,  
że zegar Wiktora został zakwalifikowany do  
grupy XIV, w której oprócz „wyrobów zegar-  
mistrzów” znajdowały się wyroby metalowe  
z zakresu kowalstwa, ślusarstwa, nożownic-  
twa, blacharstwa, glaserstwa<sup>4</sup>, brązownictwa  
i złotnictwa, a także wyroby optyków oraz  
platerowe i galwanoplastyczne. Była więc  
to grupa niezwykle zróżnicowana. Łącznie  
zakwalifikowano do niej 132 wystawców  
(z tego 90 galicyjskich). Samych wystawców  
wyrobów zegarmistrzowskich było 14. Pod  
nr 732 tego katalogu możemy więc przeczy-  
tać, że Wiktor Wasilewski ze Strzyna wystawił  
„Zegar wahadłowy, wskazujący godziny, mi-  
nuty, dni, miesiące, czas wschodu i zachodu  
słońca, kurant gra trzy razy dziennie”. Z opi-  
su innych pozycji można wywnioskować, że  
podobnych, dużych zegarów było jeszcze  
trzy: „zegar stojący” Jana Seltenreicha ze  
Lwowa (nr 719), „zegar własnego pomysłu  
rozmiarów wieżowych” Józefa Weissa ze  
Lwowa oraz „zegar albumowy z kurantami”  
Wilhelma Goldscheidera z Radzichowa. Wy-  
stawiła również swoje „zegary i zegarki od  
najprostszych do najsztuczniejszych” zna-  
na już wówczas firma Philippe Patek i Sp.  
z Genewy, założona w 1839 roku przez  
Antoniego Patka, polskiego uchodźcę po  
powstaniu styczniowym, jednego z organi-  
zatorów szlaku przerzutowego przez Drezno  
do Francji. Ale to nie wszystko. Zegar Wiktora  
figuruje również w grupie XXXIV, tzn.  
w grupie patentów, tym razem jako „zegar

kurantowy”. Obok niego były zakwalifikowane tam jeszcze dwa zegary: wspomniany już „zegar własnego pomysłu” J. Weissa oraz „zegar do nakręcania w sposób nowy” Bernarda Stiela z Krakowa (nr 779).

Sukces Wystawy był niewiarygodny jeszcze przed jej oficjalnym otwarciem: 5241 wystawców (z tego 4220 z samej Galicji) w porównaniu do 800 na poprzedniej w Krakowie! Musiano na gwałt powiększać tereny przeznaczone na budowę 129 pawilonów tematycznych na płaskowyżu stryjskim powyżej Parku Kilińskiego. Większość z nich była rozlokowana wzdłuż szerokiej alei centralnej i wokół dwóch obszernych placów: pierwszego od głównej bramy z basenem wodnym i drugiego z „fontanną elektryczną”, która była jedną z większych atrakcji z uwagi na zmieniające się kolorowe oświetlenie. Do głównych pawilonów należały: przemysłowy, sztuki, architektury oraz Mauzoleum Matejki, które były usytuowane wokół pierwszego placu z dużym basenem. Nieco na uboczu stała Rotunda „Panoramy Raławickiej”. Największym z nich był od samego początku Pawilon Przemysłowy, który miał mieć pierwotnie powierzchnię 4000 m<sup>2</sup>, a po licznych poprawkach i dobudowaniu w ostatniej chwili dodatkowego skrzydła w maju 1894 roku, prawie o połowę większą – 5985 m<sup>2</sup>. Drugi co do powierzchni był Pawilon Sztuki – 1800 m<sup>2</sup>. Daje to wyobrażenie o wadze, jaką przywiązywano do rozwoju przemysłowego zacofanej pod tym względem Galicji. Zdecydowana większość pawilonów była skonstruowana z drewna. Znaczącymi wyjątkami były: Pawilon Sztuki, którego murowana sylwetka przetrwała do dzisiaj, Rotunda „Panoramy Raławickiej”, której metalowy szkielet jest dzisiaj częścią hali sportowej, oraz Wieża Wodna. Głównym architektem Wystawy mianowano st. inż. Franciszka Skowrona i to on przygotował projekty tych największych pawilonów. Pierwotny projekt Pawilonu Przemysłowego opierał się na planie zbliżonym do odwróconej litery „E”. Wskutek późniejszych dobudówek od tyłu znacznie zmienił formę, zachowując jednak rozciągniętą fasadę

(połąć główna) oraz trzy podstawowe ramiona ze skrzydłami.

Część środkowa fasady była najbardziej imponująca. Nad głównym wejściem umieszczona była kopuła o wysokości 32 m! Była ona bogato udekorowana: w tympanonie obraz alegoryczny T. Popiela przedstawiający opiekę przemysłu nad rzemiosłem i rolnictwem oraz poniżej witraże honorujące największych królów polskich: Władysława Łokietka, Bolesława Chrobrego, Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełłę, Stefana Batorego i Jana III Sobieskiego. Obok nich znajdowały się też witraże z wizerunkami Jana Długosza, Mikołaja Kopernika, Jana Matejki i innych ważnych postaci z historii narodowej. Dwie wieżyczki po bokach tej kopuły podkreślały jeszcze bardziej uroczysty charakter tej części budowli. I nic dziwnego. Pod nią właśnie odbywały się wszystkie oficjalne uroczystości otwarcia, ważne wizyty i zamknięcie Wystawy.

W tym celu umieszczono w środku, naprzeciw głównego wejścia, tzw. Pawilon Cesarski. Było to podwyższenie pod bogato haftowanym „błękitnym baldachimem bramowanym pąsem i hermelinami” („Gazeta Lwowska”) lub „pąsem z gronostajami” („Kurier Lwowski”). Należy z tego zrozumieć, że błękitny baldachim był otoczony czerwoną wstęgą wykończoną białym futerkiem gronostajowym. Trudno to dokładnie zidentyfikować na załączonym zdjęciu. Z przodu baldachim podtrzymywany był przez hababardy husarzy w autentycznych starych zbrojach, natomiast z tyłu ozdobiony był długimi wstęgami mocowanymi do słupów. Jak się łatwo domyślić, tak bogaty i dostojny wystrój był przeznaczony dla cesarza i jego rodziny. Pośrodku tego podwyższenia usta-



Pierwotny plan Pawilonu Przemysłowego



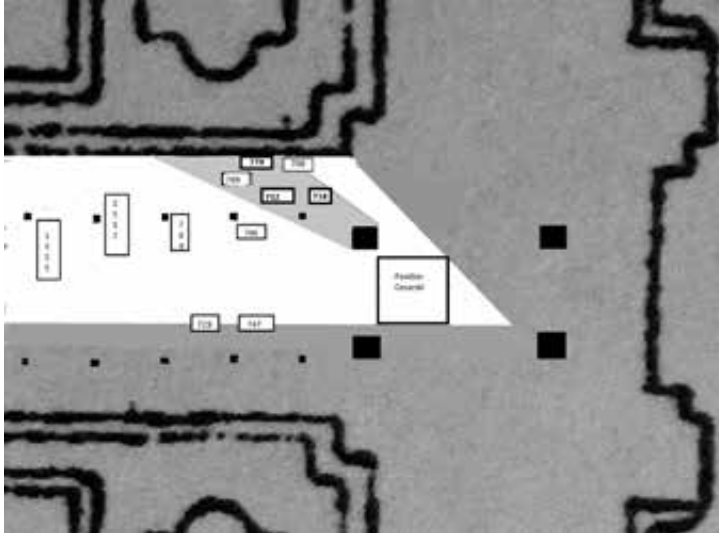
wiano dla niego tron. W prawo i w lewo od Pawilonu Cesarskiego rozciągała się główna połąć przedłużona do tyłu dwoma ramionami ze skrzydłami. Ramię środkowe znajdowało się poza nim. Utworzone w ten sposób dwa podworce służyły również do prezentacji eksponatów. Wszystkie te hale były zbudowane na jednorodnym planie: szerokość 16 m, wysokość 6 m. Wyższe ekspozycje umieszczano pod kopułami zwieńczającymi połączenia ramion z połącią główną. Dla podtrzymania dachu po dwóch stronach ustawiono szeregi słupów (co 3–6 m), tak że środkiem biegł trakt o szerokości 7 m tworząc pod ścianami dwa korytarze po 4–5 m każdy. Układ ten komplikował podobno ekspozycję, ale dyrekcja broniła się ograniczeniami budżetowymi...

W katalogu Wystawy brak było dokładnego planu rozmieszczenia poszczególnych eksponatów. Niemniej jednak dla każdego z nich wskazano sąsiadów oraz halę eks-

pozycji. Pokusiłem się więc o ustalenie możliwie jak najdokładniej, które miejsce było przeznaczone na dzieło Wiktora. Była to nie lada szarada, której rozwiązanie zajęło mi niezliczoną ilość godzin. Z uwag ogólnych dowiedziałem się, że Grupa XIV znajdowała się w środkowym ramieniu (które dzieliła z Grupą XXVII – instrumentów muzycznych) i w lewej części połąć głównej – wzdłuż fasady. Następnie pod nr 732 (zegar Wiktora) sprecyzowano, że był on usytuowany w środkowym ramieniu „poza 718, między 708 i 746 w pośrodku”. Natomiast nr 746 był „w pośrodku tuż za tronem”! Tak więc bez najmniejszej wątpliwości nasz pradziad Wiktor Wasilewski nie tylko brał czynny udział w jednym z najważniejszych wydarzeń Galicji jego czasów, ale do tego w głównym pawilonie Wystawy (zwanym wówczas „sercem wystawy”) i to o kilka metrów od jego centrum, w którym zapisało się ono

w historii! Po tej konstatacji powróciłem do szczegółowego analizowania zdjęcia Pawilonu Cesarskiego. Poza nim widać wyraźnie gabloty i stoły z eksponatami. Wyposażony w informacje z katalogu podjąłem próbę ich identyfikacji. Obok na planie – jej rezultat (biała przestrzeń to obszar objęty zdjęciem).

Nie mam wątpliwości, że prawa gablota to ta, co stała „w pośrodku tuż za tronem” tzn. nr 746, w której Piotr Seip z Krakowa wystawił swoje wyroby brązownicze. Ta z lewej strony to pewnie nr 747 („gablota pomiędzy 743 i 746 w pośrodku”) gdyż nr 743 (niezaznaczony na zdjęciu) jest związany z lewą ścianą. W gablocie tej inny krakowiak, Franciszek Kopaczyński, pokazał również wyroby ze srebra. Dalej to tylko przypuszczenia. Za nr. 747 widać górę gabloty – prawdopodobnie nr 729 (Jakubowski: platerzy i chińskie srebro), a za nr. 746 – stół z wyrobami „brązowniczymi do użytku kościelnego” Aleksandra Piecha z Sanoka (nr 709). Poza nimi



można się domyślać sylwetek organów. Ta z wyraźnym miechem to prawdopodobnie „organy dębowe, ośmiostopowe o 16 rejestrach w stylu romańskim” Alojzego Koniecznego spod Rymanowa (nr 1557). Za nim być może organy Jana Grochowskiego z Krakowa (nr 1555).

Ale dla mnie najważniejsze na tym zdjęciu jest to, czego na nim brak... Otóż wydaje mi się, że z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że za obszernym filarem po prawej stronie od podium (podtrzymującym główną kopułę) ukrywa się zegar naszego Wiktora! Z katalogowego zapisu wynika bowiem, że był on po prawej stronie od nr 746, który znajduje się niedaleko „strefy cienia” filara, oraz na lewo od nr 708, którego „szafa i stolik” wylaniają się częściowo na zdjęciu z prawej strony. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście tak było, to z całą pewnością było to miejsce, gdzie Wiktor doznał wstrząsów, których cięń spróbujmy odtworzyć z oficjalnych relacji.

Tak więc można być pewnym, gdzie nasz pradziad był o godzinie 11 we wtorek 5 czerwca 1894 roku w czasie ceremonii uroczystego otwarcia Wystawy zrelacjonowanej szczegółowo zarówno przez „Gazetę Lwowską”, jak i „Kurier Lwowski”. Tuż przed tym pewnie był świadkiem krzątania przed Pawilonem Cesarskim, gdy na gwałt zamiatano „dywan pluszowy koloru bordeaux”. Ale wszystko zaczęło się już o godzinie 8 rano mszą w katedrze łańciewskiej, na której

teoretycznie Wiktor mógł być, ale potem musiały się bardzo spieszyć, by zdążyć na czas (przed 10) do swojego zegara. Cała bowiem trasa od katedry do Parku stryjskiego była obstawiona szpalerami młodzieży ze wszystkich szkół oraz przedstawicielami wszystkich możliwych stowarzyszeń polskich, ruskich i żydowskich (świeckich

i duchownych) ze sztandarami, reprezentujących społeczeństwo Lwowa i okolic. Wśród takich szpalerów, na krótko przed godziną 11, otwartym powozem przejechał najwyższy dostojnik ceremonii, osobisty wysłannik cesarza – jego młodszy brat, arcyksiążę Karol Ludwik wraz z namiestnikiem Badenim. Przed Pawilonem Przemysłowym zgromadziła się cała elita polityczna Galicji: członkowie Wydziału i Sejmu krajowego, generalicja oraz arcybiskupi trzech wyznań: rzymsko-, grekokatolickiego i ormiańskiego. Bogato wystrojona w kontusze szlachta tworzyła kolorowy szpaler. Tym szpalerem orszak dostojników wszedł do środka pawilonu, gdzie arcyksiążę Karol Ludwik w asyście arcyksięcia Lepolda Salwatora (z linii tokańskiej Habsburgów) i swojego adiutanta wstąpił na podwyższenie z tronu (na którym jednak nie usiadł). Nasz Wiktor mógł dokładnie obejrzeć ich z lewego profilu... Wysłuchał także z uwagą oficjalnych przemówień. Pierwszy mówił prezes Komitetu Wystawy, książę Adam Sapieha. Przemawiał po polsku, opisując niezwykłą mobilizację całego społeczeństwa w przygotowaniach do Wystawy, czego „dowodem udział w pracach równie gorący i gorliwy tak Polaków, jak i Rusinów”. Następnie głos zabrał (po rusku) dr Damian Sawczuk, członek Wydziału krajowego. Wyobrażam sobie, że Wiktor go doskonale rozumiał, gdyż „wyssał” ten język wraz z mlekiem matki. Dr Sawczuk podkreślał braterstwo

dwóch narodów, ale również niezbywalne prawa narodu ruskiego „dawnego narodu kulturowego, żyjącego własnym życiem, i rozwijającego się na podstawie samodzielnej, narodowej”. Gorąco dziękował cesarzowi za poparcie w tych dążeniach... W dalszej kolejności Wiktor usłyszał odpowiedź arcyksięcia Karola Ludwika po niemiecku, który to język z całą pewnością też rozumiał bardzo dobrze. Mówca gratulował sukcesów obydwu narodom kraju, „który już w czasach młodości tak ukochałem”. To była aluzja do dłuższego pobytu we Lwowie w latach 1854–1855. Spotkała się ona oczywiście z burzą oklasków. Pozwoliło to arcyksięciu dorzucić po polsku: „Rad z serca winszuję krajowi tej zdobyczy...”, co wzbudziło powszechny entuzjazm. Po czym arcyksiążę oficjalnie uznał Powszechną Wystawę Krajową za otwartą. Chwila była niezwykle podniosła: z dala dobiegał głos bijących we wszystkich kościołach dzwonów, rozlegały się salwy armatnie (z moździerzy), a przed budynkiem chór męski (połączone chóry „Lutnia” i „Echo”) odśpiewał hymn cesarski oraz polskie i ruskie kantaty. Tego oczywiście nie wiadomo z pewnością, ale nie jest wykluczone, że w oku Wiktora zakręciła się łezka wzruszenia...

Następnie arcyksiążę oprowadzany przez namiestnika Badeniego wspomaganego przez dyrekcję Wystawy rozpoczął zwiedzanie pawilonu od „prawego skrzydła,” co oznaczało raczej „w lewo od głównego wejścia”, sądząc po oglądanych ekspozycjach. Wizyta przeciągnęła się bardzo ponad przewidziany czas, „gdyż prawie przy każdej grupie, przy każdym niemal przedmiocie (...) wypytywał o szczegóły...”. Reporterzy dwu cytowanych dzienników przytaczają całe listy przedmiotów, które wzbudziły zainteresowanie arcyksięcia. Brakuje jednak wzmianki o zegarze Wiktora. Nie wspomniano też nic o innych wystawianych zegarach. Nie jest jednak wykluczone, że i przed nimi się zatrzymał.

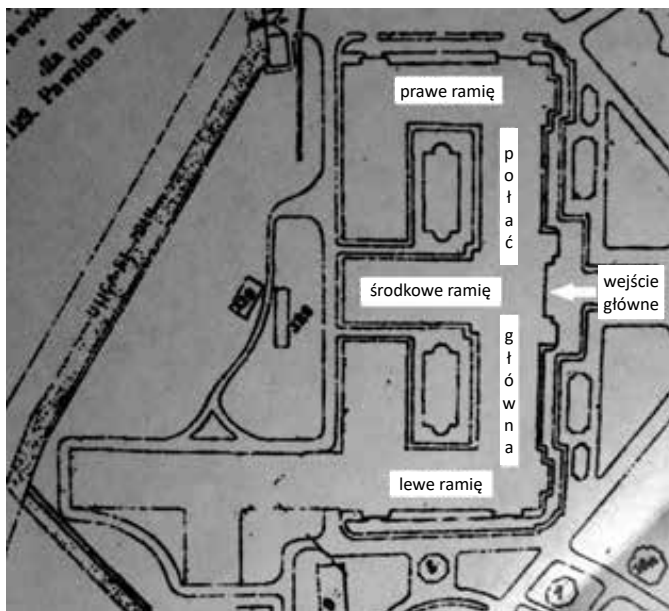
Po tej wizycie, która trwała ponad godzinę, około w pół do pierwszej, Jego Ekscelencja udał się do Pawilonu Miasta Lwowa i już nie starczyło mu czasu na zwiedzanie Pawilonu Sztuki, co odłożono na dzień następny. Wystawę opuścił o godzinie pierwszej, a o wpół do trzeciej lunął deszcz zamykając okienko dobrej pogody na otwarcie

Wystawy. Łało z krótkimi przerwami aż do wieczora. Aura w ogóle nie sprzyjała tej Wystawie: wiosna tego roku była bardzo słotna, co utrudniało prace przygotowawcze, a po otwarciu łało przez 40 dni...

Nie jest wykluczone, że Wiktor wykorzystał to słotne popołudnie na nawiązanie bliższej znajomości (o ile tego nie zrobił wcześniej) z innymi wystawcami, szczególnie z dziedziny zegarmistrzostwa. Zaraz obok niego był wystawiony wspomniany już zegar Bernarda Stiela (nr 779), który był czeladnikiem zegarmistrzowskim w Krakowie. Wyobrażam sobie więc ich rozmowy dotyczące takich czy innych rozwiązań technicznych. Zwłaszcza że wystawiony przez Stiela zegar był „własnego pomysłu do nakręcania w sposób zupełnie nowy”, co upoważniało go do konkurencyjności również w grupie patentów. Niestety, nie udało mi się ustalić, na czym polegał ten jego nowy system nakręcania. Nieco dalej, ale też u wejścia do środkowego ramienia, przy prawej ścianie znajdował się zegar „albumowy” z kurantami Wilhelma Goldscheidera z Radziechowa koło Lwowa (nr 807). Z całą pewnością mógł więc wytłumaczyć Wiktorowi, na czym ów „albumowy” charakter polegał i dlaczego kurantów było kilka, a nie jeden. Dzisiaj trudno tego dociec. Prawdopodobnie obok wystawiony był zegar słoneczny Adofa Stiglitz z Tarnowa (nr 768). Przedsiębiorstwo to istniało od 1849 roku i zostało już nagrodzone na lokalnej wystawie w Tarnowie w 1892 roku. Tak więc również wystawca profesjonalny. Można sobie wyobrazić, że mogli oni znaleźć wspólny język, rozprawiając o czasie wyznaczanym przez ruch ciał niebieskich... Jako się już rzekło, przed zegarem Wiktora stał na stoliku podróży zegar „ankrowy” o 16 rubinach, który się nakręcało raz na 8 dni (nr 718). Jego wystawca Konrad Schneikart był lwowskim zegarmistrzem (przy ul. Wąłowej), który w swoim składzie sprzedawał zegary „wyłącznie tylko z pierwszorzędných genewskich i francuskich fabryk”. Można się domyślać, że termin „ankrowy” oznaczał po prostu „z kotwiczką”, rozwiązaniem technicznym już wówczas rozpowszechnionym. Natomiast nowością pewnie było nakręcanie raz na 8 dni. Nie mógł tym jednak zaimponować Wiktorowi, którego cacko nakręcało się raz... na rok! Zaraz obok wystawiał inny zegarmistrz lwowski: Tadeusz Miłaszewski,

który posiadał skład przy ul. Akademickiej „zegarków kieszonkowych i stołowych, ścienne, szwarcwaldzkich i podróżnych”. Prezentował on „wielki zegar kieszonkowy – roboty ręcznej” (nr 710), prawdopodobnie własnej. „Kurier Lwowski” pisał, że był to zegar „kieszonkowej roboty ręcznej”. Nie wiadomo więc, czy chodziło o rozmiar kieszonkowy (ale w takim razie dlaczego „wielki”), czy też o jakieś szczególne rozwiązanie konstrukcyjne. Z całą pewnością też miał o czym rozprawić z Michałem Mięśowiczem z Krosna,

który wystawiał obok nr 718 „sztuczny zegar w stylu odrodzenia, bijący kwadrans i godziny – wszystkie kółka, tryby i części składowe wykonane od ręki bez pomocy maszyn” (nr 711). Termin „sztuczny” zdaje się być wtedy używany w znaczeniu „wysokiego poziomu sztuki zegarmistrzowskiej” – odpowiednik dzisiejszego „precyzyjny”. Reporter „Kuriera Lwowskiego” pisał, że było to coś w rodzaju „regulatora”. Podobnie natomiast jak u Wiktora był to zegar stylowy o pięknym wykończeniu i olbrzymich rozmiarach, no i od A do Z wykonany ręcznie. Wygląda na to, że tak jak nasz pradziad, jego twórca był wielkim pasjonatem. Nie ma też wątpliwości, że Wiktor mógł nawiązać żywy kontakt z innym autorem oryginalnego dzieła, Józefem Weisssem ze Lwowa (ul. Sobieskiego), którego stoisko znajdowało się nieco dalej, przy tylnej ścianie głównej połączy na prawo od głównego wejścia. Rodzina Weissów już od trzech pokoleń zajmowała się zegarmistrzostwem (jego dziadek i ojciec bowiem prowadzili zakład w Wieliczce). Wystawił on „zegar własnego pomysłu rozmiarów wieżowych” (nr 726), który zadziwił oryginalnością (miał tylko jedną wskazówkę



Ostateczny plan Pawilonu Przemysłowego

– *sic!*) i był stosunkowo tani. Nadawał się więc do instalacji w małych miasteczkach. Zabrakło jednak środków finansowych do rozpowszechnienia tego modelu<sup>5</sup>. Sam Józef Weiss był wieloletnim opiekunem zegara ratuszowego we Lwowie, przywiązany do niego do tego stopnia, że gdy któregoś dnia ów zegar stanął, to on sam zapadł poważnie na zdrowiu...<sup>6</sup> Nie mogę się oprzeć przypuszczeniu, że to właśnie rozmowy z tym „sumiennym w swoim fachu pracownikiem” pomogły Wiktorowi w późniejszym skonstruowaniu zegarów na wieżach ratusza i saliny w Bolechowie...

<sup>1</sup> Dwernicki Tadeusz: „Historia i organizacja Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie”, Wydział Krajowy, Lwów 1897

<sup>2</sup> Partacz Czesław: „Od Badeniego do Potockiego. Stosunki polsko-ukraińskie w Galicji w latach 1888–1908”, Toruń 1996

<sup>3</sup> „Katalog Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie roku 1894”, drugie wydanie, Lwów 1894

<sup>4</sup> Produkcja szkła

<sup>5</sup> [http://zegarkiclub.pl/forum/lwowskie zegary](http://zegarkiclub.pl/forum/lwowskie_zegary)

<sup>6</sup> Tadeusz Krzyżewski, *Serce Lwowa*, „Cracovia Leopoldis” nr 3/2009, s. 5

# *Można było płakać, to były ostatnie wakacje życia*

**Z Marią Korzinek z domu Żurowską,  
urodzoną we Lwowie,  
rozmawia Natalia Tarkowska**

**Pani Mario, zgodziła się Pani opowiedzieć o swoich ostatnich wakacjach na Kresach. Trzyma Pani w rękach piękny huculski album.**

Nic nie przywiozłam ze Lwowa, żadnych fortepianów, meble i wszystko zostało. Zabrałam tylko albumy ze zdjęciami. Siedemnaście lat mam na tych zdjęciach. Rok przed maturą we Lwowie. Skończyłam prywatne gimnazjum sióstr Nazaretanek. Byłam taką ładną dziewczyną, zupełnie jak modelka. Miałam długie ładne nogi i długie bardzo ładne zęby. Kochałam sport, kochałam wycieczki. Grałam w siatkówkę, jeździłam na nartach i łyżwach. Moje ostatnie wakacje były w 1939 roku. I my z mamą tydzień przed wrześniem wracamy ze wspaniałych dwumiesięcznych wakacji w Kutach. W ogóle nie myślimy o Hitlerze, o wojnie. Jesteśmy na naszych cudownych corocznych wczasach.



Maria Korzinek z d. Żurowska. Pamiątkowa fotografia z rodziną po niedzielnej mszy świętej w kościele w Kutach (1939)

Mama mówiła: wszyscy się już pakują, robią nie wiadomo co. A my tydzień przed wojną przyjeżdżamy do Lwowa do domu. To były ostatnie wakacje.

**Jak wyglądała Wasza podróż do Kut?**

Jeździliśmy pociągiem ze Lwowa do Kołomyi, która była ostatnią stacją. W Kutach był mały domek, tam wszystkie domki są małe i piękne. Myśmy przyjeżdżali na lato. Mama brała olbrzymi kosz, ładowała do niego rzeczy i jechaliśmy do Kut. Zaraz po przyjeździe zakochaliśmy się w tych Kutach i w tym Kosowie. W Kutach wynajmowaliśmy domek w pobliżu plaży, u gospodyni Hucułki. Rano robiło się w domu śniadanie i szło się na plażę, a potem stamtąd na obiady do restauracji na rynku.

**Patrząc na fotografie można sądzić, że większość czasu spędzaliście na plaży nad Czeremoszem. Jakie są Pani wspomnienia z tych chwil?**

Co to był Czeremosz? Najpiękniejsza rzeka, taka czysta woda, że można było pić herbatę. Nadzwyczajna woda. Tuśmy się wszyscy kąpali, pływali. To było чудо, to była taka cudowna rzeka, taka rwąca i niebezpieczna. Trzeba było mieć silne nogi, żeby tu pływać i nie dać się utopić. Tu brałam pierwsze lekcje pływania. Poszłam z chłopakami nad rzekę i o mało się nie utopiłam. Czeremosz ma takie kotły, ale oni w trójkę mnie uratowali. Cały dzień plażowaliśmy na kamienistej plaży ze stolikami i ławeczkami. Miałam czerwony kostium z napisem S.O.S. To było radosne, piękne słońce i wspaniała roślinność. Zbierałam rumianki na bukiety. Tutaj spływały tratwy Hucułów. Na tratwy można było siadać, ale rodzice nam nie pozwalali.

**Jak zapamiętała Pani Kutę?**

Rynek w Kutach... mogę o tym mówić dzień i noc. Na górze w rynku była restauracja i budynek Sokola. W tym Sokole my, młodzież, spotykaliśmy się na popołudniowych potańcówkach. Z rodzicami chodziło się na plażę, a w tygodniu po południu były tańce dla wczasowiczów. Młodzież umiała się bawić. Wakacje чудо. Niedziela zaczynała się w kościółku, stamtąd się wychodziło i robiło pamiątkowe zdjęcia. Na rynku był targ i rano wszyscy przyjeżdżali furami konnymi,



nie było tam samochodów i taksówek. Były konie i wozy drabiniaste. Przywozili różne arbuzy. Te arbuzy rzucali na ziemię, nie było żadnych stołów, sprzedawali od razu do ręki. Zawsze rano jechało się na rynek, kupować owoce i kupować pyszne arbuzy i stąd ja kocham arbuzy i umiem kupować, bo trzeba było pukać w nie placem i wtedy słyszało się, czy jest dojrzały. I to były moje przeżycia.

**W ciągu dwóch miesięcy wakacji odwiedzaliście również inne miejsca.**

W Kutach wsiadało się w pociąg do Rumunii, który stał przed mostem. Wsiadało się, płaciło się urzędnikowi Rumunowi, który mówił: Proszę siadajcie, siadajcie. Siadaliśmy na jedną stację i już było się w Rumunii. Wysiadało się i kupowało się całe skrzynki winogron i win rumuńskich. Nie trzeba było mieć żadnych kart ani paszportów. Wskakiwało się w ciuchcią tratatata... wysiadało i było się już w Rumunii, na stacji kupowało się owoce i co dusza pragnie i ciach, ciach, ciach... przyjeżdżasz do domu.

**W Pani albumie znajdują się również fotografie z Kosowa, który znajduje się nieopodal Kut. Ma Pani także wspinał drewniane inkrustowane pamiątki, takie jak album i pudełeczko.**

Żeby jechać do Kosowa, wsiadaliśmy w dorożkę z konikami – mama, ciocia i my. Jechaliśmy spędzić dzień w Kosowie, gdzie zwiedzaliśmy wszystkie zakłady pracy, w których robiono ceramikę. W każdym domu stały pracownie, nie było podłogi, jeszcze były klepiska, ale wszędzie stały warsztaty tkackie. Wyrabiali przepiękne kilimy, była też robota w drewnie z koralikami. Byli bardzo utalentowani, pracowici, mieli dużo artystycznego.

Kupiliśmy takie piękne flakony, które niestety przez okres wojny wszystkie się rozeszły. Szliśmy też na spacer nad wodospad Huk i siadaliśmy na skałkach.

**Kuty i Kosów to miasteczka podgórskie. Czy chodziliście na górskie wycieczki?**

To były piękne tereny, przepiękne. Szło się całą drogę wśród gór. Płoniny karpackie to jest już wysoko w górach. Idziesz i są łąki, same łąki i przepiękne powietrze. Były tam szałas huculskie. Tam Huculi dawali nam kwaśne mleko – huślankę, którą jedliśmy łyżkami, oraz kaszę, którą jedliśmy z jednej miski. Wszędzie były owce i sianokosy. My mamy górali w Zakopanem, a Huculów mieliśmy tu. Mam zdjęcie, na którym jestem ubrana w strój huculski. To były górskie wakacje, coś pięknego. Można było plakać, to były ostatnie wakacje życia. A potem trzeba było siedzieć, była wojna, Hitler i prześladowania.

**Jak wyglądało Pani życie w czasie wojny i tuż po niej?**

Po maturze zaczęłam studia weterynaryjne. Po roku przyszli Niemcy, za Niemców nie było studiów wyższych, powiedzieli: macie mieć tylko szkołę podstawową, nic więcej. Brali do roboty do fabryk, wywozili młodzież do obozów. Ja dostałam pracę w fabryce sztucznego miodu, który szedł dla wojska niemieckiego. Robiliśmy miód w kosteczkach. Potem przyszli Sowietnicy i powiedzieli: macie młodzież, to się uczcie, wszystkie uniwersytety otworzyli. Od razu zmieniłam studia i po roku weterynarii poszłam na farmację. Przyjechałam do Krakowa, skończyłam farmację na UJ i otrzymałam dyplom.

**Dziękuję Pani za rozmowę.**



## Tadeusz Śliwiak

### *Lwów*

Ewie  
 Czy wiesz jakie to szczęście  
 urodzić się we Lwowie  
 i patrzeć z Góry Jacka  
 na Wysoki Zamek  
 na place i ulice  
 Na Lwy przed ratuszem  
 I czy wiesz co to znaczy  
 opuścić to miasto  
 być wygnańcem  
 żyć daleko stąd  
 jak niewidomy  
 Jakże miałbym tam jechać  
 aby być gościem  
 własnego domu?

### *Mój Lwów*

Lwów mieszka we mnie  
 jego ulice  
 to najpiękniejsze wersety poezji

### *Lwowskie Zaduszki*

Gdyśmy przez cmentarz Łyczakowski szli  
 to wszystkie groby otwierały oczy  
 patrzyli na nas Ojcowie i Bracia  
 słuchając polskiej mowy  
 podnosiliśmy nieczytelne krzyże  
 pytaliśmy kamieni  
 o imiona tych, co wierni



### *Antygona wołyńska*

*Jarosławowi Iwaszkiewiczowi*

i zawędrowała Antygona na Wołyń  
 grzebać Polinika przerżniętego piłą  
 i odchyła gazety które go przykryły  
 i na próbę wystawia swój strach i swą miłość

a ty go nie ruszaj bo legniesz tu z nim  
 przyjdą kruki pogrzebią brata no swojemu  
 chałup spalonych wiał tu kadzidlany dym  
 odmówiła różaniec lufa erkaemu

że brat brata powiadasz  
 co ty o tym wiesz  
 ty znałaś miłość tylko  
 nie znasz nienawiści  
 przed ziemi otwarciem  
 białych rąk swych strzeż  
 i uciekaj nim wrocą o świcie faszyści

Wiersze ukazały się na łamach „Życia Literackiego”.

---

23 stycznia 2018 r. obchodzić będziemy 90. urodziny Tadeusza Śliwiaka. Urodził się we Lwowie. Jako kilkunastoletni chłopak został ekspatriantem. Na stałe osiadł w Krakowie, gdzie związał się z Piwnicą Pod Baranami, Starym Teatrem im. Heleny Modrzejewskiej, Telewizją Kraków, w końcu z „Życiem Literackim”. Tadeusz Śliwiak był bowiem aktorem, dziennikarzem, poetą, pisał teksty piosenek (hymn Piwnicy Pod Baranami *Ta nasza młodość* wyszedł spod jego pióra...), bajki dla dzieci. Nie zapomniał o swym Lwowie, o czym mówią opublikowane na łamach „Życia Literackiego” wiersze, które prezentujemy. Bolały go przemilczane rany Wołynia, czemu dał wyraz w tomie *Rajskie wrony*, opublikowanym w 1972 r. Z tej książki pochodzi utwór *Antygona wołyńska* dedykowany wybitnemu pisarzowi Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Tadeusz Śliwiak odszedł 3 grudnia 1994 r. w dramatycznych okolicznościach. Pamiętajmy o Nim i czytamy Jego wiersze...

---

Beata Bednarz

# Panie kresowych siedzib

*Zaproszenie Magdaleny Jastrzębskiej do odbycia niezapomnianej podróży kresowym gościńcem – o książce „Panie kresowych siedzib” (Wydawnictwo LTW, Łomianki 2016)*

Revolucja bolszewicka i wojenne zawie-ruchy skazały na unicestwienie wiele kresowych rezydencji należących do zasłużonych polskich rodów arystokratycznych. Zostały obrabowane, ograbione, spalone, a następnie rozebrane prawie do fundamentów lub niszczały pozostawione po wojnie bez opieki. Wśród nich znalazły się między innymi: podolskie Pietniczany, pałac zimowy Branickich w Białej Cerkwi, Sanguszkowa Sławuta, Stawiszczce, do których latem 1914 roku zdążył zawitać Jarosław Iwaszkiewicz, legendarne Antoniny, wspaniała ziemiańska siedziba w Ożomli, litewskie Jużynty Weysenhoffów, Radziwiłowski pałac w Połoneczce, wołyński dworek „Na Górcie” w Równem, pałac w Młynowie czy położony niedaleko Białej Cerkwi biały dwór w Lemieszówce. Świadcami ich rozkwitu, a potem powolnego umierania wskutek poddmuchu rewolucji i wojen były słynące z urody, niezwykłej siły i nieposzlakowanej prawości charakteru polskie damy, strażniczki domowych ognisk i tradycji, patriotki, opiekunki zesłańców, wygnańców i powstańców, kolekcjonerki, pisarki, znawczynie sztuki, posażne córki magnatów, z upływem lat zmieniające się w szacowne matrony. Magdalena Jastrzębska, która specjalizuje się w bogato udokumentowanych biografiach (warto wymienić takie znaczące tytuły jak *Pani na Żółtym Potoku. Opowieść o Marii z Krasińskich Raczyńskiej; Siostry Lachman – piękne nieznanome; Listy z Kresów.*

*Opowieść o Józefie z Moszyńskich Szembekowej, czy tytuł ostatniej książki: Portret Klementyny, poświęconej siostrze słynnego szwoleżera Jana Kozielskiego), stworzyła reprezentatywną literacką galerię panien na kresowych włościach.*

Kogóż nie ma w tej galerii! Same szykowne, utalentowane, oryginalne i niezależne damy. Poznajemy między innymi: zapomnianą pisarkę rodem z Litwy, panią na Dydeliszkach – Zofię z Chłopickich Klimańską; właścicielkę najpiękniejszej rezydencji Wołyńia – Aleksandrę ze Steckich Radziwiłową; muzę najśłynniejszego pisarza francuskiego doby romantyzmu, panią na Wierzchowni – Ewelinę Hańską; znaną i poważaną w całej Europie, ale przede wszystkim przywiązaną do rodzinnej ziemi, panią na Białej Cerkwi – Marię z Sapiehów Branicką; hojnie wspierającą potrzebujących „pannę Postawiankę” – Marię z Tyzenhauzów Przeddziecką; panią na Czarnominach, które odwiedził tuż przed zniszczeniem Jarosław Iwaszkiewicz – Elizę z Szembeków Czarnomską (bratanicę głównej bohaterki poprzedniej książki Magdaleny Jastrzębskiej, poświęconej Józefie z Moszyńskich Szembekowej); żonę hr. Aleksandra Fredry, panią na Beńkowej Wiszni – Zofię z Jabłonowskich Fredrową; babkę Zygmunta Krasińskiego, panią na Dunajowcach – Antoninę z Czackich Krasińską; matkę znakomitego i wciąż niedocenianego pisarza Józefa Weysenhoffa, panią na Jużyntach i Tarnowie – Wandę z Łubieńskich, bądź autorkę chętnie czytanej do dziś *Burzy od Wschodu*, panią na Lemieszówce – Marię z Izbickich Dunin-Kozicką. Serce czytelniczek może podbić szczególnie pani z Bochennik, babka stryjeczna Josepha Conrada, bohaterka licznych anegdot i twórczyni unikatowego w jej czasach *Atlasu Polski*. Regina Korzeniowska wiodła inną niż wymienione wyżej damy egzystencję, jakby na przekór narzucanym w jej epoce stylom życia, ale jednocześnie zachowywała wierność szlacheckim i chrześcijańskim zasadom oraz swoim ideałom.

Wszystkie nakreślone przez Magdaleny Jastrzębską krótką, ale zamasytą kreską portrety – zestawione obok siebie – tworzą spójny i barwny obraz życia magnackich rodzin polskich na Podolu, Wołyniu czy Wileńszczyźnie. Lektura tej książki uzmysławia, że kresowe dwory i rezydencje przybierały

# SŁOWNIK NAZW ULIC I MIESZKAŃCÓW LWOWA

## Ulica Kadecka

Ulica Kadecka to jedna z ładniejszych ulic miasta, łączy ul. Pełczyńską z ul. Stryjską. Powstała wkrótce po wybudowaniu na gruntach zw. Przymiarki, austriackiej wojskowej szkoły kadeckiej<sup>1</sup>, otwartej w 1899 r. Nazwana stąd Kadecką wznosi się od ul. Pełczyńskiej<sup>2</sup> ostro w górę w kierunku południowym, a osiągnąwszy górny poziom (na tzw. „górze kadeckiej”) skręca pod kątem prostym w lewo, w kierunku ul. Stryjskiej. Jest to w istocie skrzyżowanie czterech ulic, z których Kadecka zajmuje dwie, o pozostałych dwóch będzie mowa niżej.

Zabudowa ul. Kadeckiej powstała w dwóch okresach, co uwidacznia się w architekturze kamienic. Stronę zachodnią (prawą – numery domów parzyste) realizowano do I wojny światowej, strona lewa wypełniała się zaś stopniowo kamienicami po przewnie wojennej, w ciągu 20-lecia międzywojennego.

Zabudowę strony prawej rozpoczynają remiza i warsztaty tramwajowe, a w przedłużeniu willa dyrektora zarządu lwowskich tramwajów<sup>3</sup>. Powyżej odchodzi w prawo niewielka przecznica, ul. Śliwińskiego, zakończona zagajnikiem ze stawkiem „Morskie Oko”. Nazwa tej ulicy pochodziła od nazwiska właściciela kamienicy przy ul. Kadeckiej 6, Hipolita Śliwińskiego, budowniczego, a zarazem działacza niepodległościowego, senatora. W jego stylowej kamienicy przemieszkiwał przed I wojną Józef Piłsudski, tu powstawały zręby Związku Strzeleckiego.

Kamienica nr 4 była własnością bar. Brückmanna. W kamienicy nr 8 mieszkał m.in. inż. Zbigniew Schneigert<sup>4</sup>. Między kamienicami nr 8 i 10 była przerwą w zabudowie i strome dojsie do willi Kanarowskich. Pod nr 10 mieszkała m.in. bardzo patriotyczna rodzina Romaniuków<sup>5</sup>. ▶

własny charakter, wiodły nieco odrębny tryb życia, ale wszędzie to życie pulsowało śmiałością. Liczne szlacheckie inicjatywy, olbrzymia odwaga i poświęcenie właścioleek sprawiły, że ich siedziby stały się na długi czas ostoją kultury, tożsamości narodowej, tradycji, obyczajów i religii. Dziejowe zawieruchy zniszczyły tę wyjątkową, przepojoną duchem romantyzmu i polskości atmosferę, tę kresową bujność życia toczącego się w tych domostwach. Dawne wspaniałe rezydencje możemy dziś zobaczyć wyłącznie dzięki zachowanym szczęśliwie archiwom, do których Magdalena Jastrzębska od czasu swojego debiutu cierpliwie dociera. Liczne fotografie oraz cytaty ze wspomnień i pamiętników zeń zaczerpnięte zdobią strony jej najnowszej książki. Spośród opisanych przez autorkę rezydencji nieliczne ocalały, np. znajdujący się dziś w granicach Białorusi pałac w Postawach, pałac w Wierzchni, który w czasach swojej świetności oszołomił Balzaca, zamek w Nieświeżu (otwarty w 2012 roku dla zwiedzających po gruntownym remoncie) czy klasycystyczny pałac w Wysokich Litewskich, który kazała wznieść Pelagia z Potockich Sapieżyna – córka targowiczanka Szczęsnego Potockiego.

Z książki wyłania się fascynujący obraz życia magnackich rodzin polskich w XIX i na początku XX wieku w zbudowanych przez siebie pałacach, zamkach i dworach. Niektóre z przedstawionych pań na kresowych włościach są znane w mniejszym lub większym stopniu czytelnikom interesującym się tą tematyką, pozostałe nazwiska wydobywa Magdalena Jastrzębska z mroków niepamięci. Wbrew pozorom ich historia nie urywa się, lecz trwa w pamięci kolejnych pokoleń. Skomponowaną przez pisarkę galerię strażniczek kresowych siedzib otwiera pani na Pietnicznanach, czyli Ksawera z Brzozowskich Grocholska (1807–1872). Dama ta, obdarzona tytułem „la divine Xaverine”, jest swoistym spoiwem łączącym się ze wspaniałą książką Barbary Wachowicz pt. *Bohaterki powstańczej Warszawy*. Otóż jedną z bohaterek wspomnianego dzie-

Ulica Kadecka – widok na pierzeję zachodnią (prawą) – parzyste numery domów, fot. Andrzej Chlipalski



ła Barbary Wachowicz jest prawnuczka opisanej przez Magdalenę Jastrzębską Ksawery – Barbara Grocholska-Kurkowiak, ps. Kuczerawa, sanitariuszka 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, poetka i wielokrotna mistrzyni Polski w narciarstwie (warto dodać, że słowo „kuczerawa” ma pochodzenie kresowe i oznacza kędzierzawa). Jej pradziadek to Stanisław Zamoyski – autor opublikowanych w 2014 roku cennych *Listów z Podola*.

Magdalenie Jastrzębskiej udało się oddać niepowtarzalną atmosferę wielokulturowych Kresów i pokazać bogactwo utraconego dziedzictwa. Autorka przybliży losy Polek, które Polskę – z Wileńszczyzną, Nowogródczyzną, Podolem, Polesiem, Wołyniem i ziemią lwowską – zachowywały w swoich sercach i przekazywały swoim dzieciom. Do kogo jest adresowana ta publikacja? Niewątpliwie do miłośników dawnego życia i obyczaju, do wszystkich tropiących historię Kresów, wreszcie do tych, którzy lubią obcować z pięknie wydanyymi książkami, w których miniony świat zamknięty został nie tylko między linijkami tekstu, ale także w pełnych uroku fotografiach. Czytelnicy znajdą w niej również krótkie wzmianki o współczesnym stanie opisanych siedzib, jeśli się cudem zachowały po zawierusze wojennej.

Publikacja jest próbą zajrzenia w przeszłość i teraźniejszość polskich utraconych ziem. Ma wymiar sentymentalny, tragiczny i smutny zarazem. Liczne dwory i pałace położone na dawnych Kresach Wschodnich oraz wznoszone przez ich właścicieli świątynie po traktacie ryskim znalazły się poza granicami Rzeczypospolitej. Niektóre spośród zaprezentowanych przez autorkę damy zostały zmuszone do opuszczenia rezydencji po stu, a nawet dwustu latach tamtejszej obecności i pracy ich rodu nad budowaniem nowoczesnego społeczeństwa, opartego na głębokich wartościach chrześcijańskich. Książka Magdaleny Jastrzębskiej niepozbawiona jest zatem kropli goryczy, gdyż tryby historii okrutnie przetrzebiły zakłęty w niej świat.



Zabudowa ul. Kadeckiej po stronie wschodniej (lewej). W jednej z tych kamienic mieszkała pani Killanowa, wywieziona w 1940 r. do Kazachstanu. Tam utworzyła teatrzyk lałkowy dla dzieci „Niebieskie Migdały”, fot. Andrzej Chlipalski

► Kamienica nr 12 należała do rodziny Zagórskich. Do II wojny mieszkała tu Wanda Olszewska, która wraz z Danutą Sikorzanką były pierwszymi polskimi pilotkami. Dalej były dwie podobne kamienice, nr 14 i 16. W tej pierwszej mieszkał znakomity matematyk prof. Hugo Steinhaus oraz w pewnym okresie rodzina Zarugiewiczów<sup>6</sup>, w drugiej m.in. pp. Kwiatkowscy – brat ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego, a także rodzina Sokalskich – po II wojnie inż. Kazimierz Sokalski był profesorem i rektorem Politechniki Krakowskiej.

Powyżej tej ostatniej budowa wykończona przez Niemców dla swoich rodzin, a dalej bardzo stroma przerwa w zabudowie i następna przecznica – ul. Kosynierska, która wedle planów miała schodzić do ul. Wuleckiej, do czego nie doszło. Na ulicy tej stały wille, m.in. rodziny dyrektora Lasów Państwowych Karola Chlipalskiego i wybitnego matematyka, prof. Antoniego Łomnickiego, współtwórcy czołowej w kraju lwowskiej szkoły matematycznej.

Za ul. Kosynierską, przy ul. Kadeckiej 28, stała kamienica, w której mieszkały rodziny: Mniszków (b. ziemianie z Zbrucza), Łukowskich<sup>7</sup> oraz Longchamps de Berier<sup>8</sup>.

Powyżej była następna budowa wykończoną przez Niemców na hotel dla oficerów wracających z Rosji. W kolejnej kamienicy na rogu ul. Pochylej mieszkała m.in. rodzina Gawlińskich<sup>9</sup>. Na tej przecznicy znajdował się dom nr 7, w którym swoje wczesne lata spędził Janusz Majewski, później znany reżyser filmowy.

Na rogu ulic Kadeckiej i Pochylej stoi oryginalna willa „Dom pod Książką”, zbudowana w latach 30. dla artysty introligatora i bibliofila Aleksandra Semkowicza, senatora RP. Dalsze kamienice, aż do wspomnianego wyżej skrzyżowania ulic i skrzytu Kadeckiej ku ul. Stryjskiej, powstały w latach 30. W tym miejscu jest lokalne skrzyżowanie: dwa odcinki ul. Kadeckiej, ponadto ul. Dylewskich, a przy niej dom dla sierot<sup>10</sup>, oraz ul. Abrahamowiczów, a przy niej II Dom Tech- ►

► ników (Politechniki Lwowskiej) oraz Zakład Wychowawczy Abrahamowiczów<sup>11</sup>. Ostatni odcinek ul. Kadeckiej, biegnący poziomo, miał po prawej stronie mur terenu Szkoły Kadeckiej.

Stronę lewą ul. Kadeckiej (wsch., numery nieparzyste) rozpoczyna gmach Zakładu Energetycznego na rogu ul. Pełczyńskiej. Powyżej odchodzi tu alejka parkowa<sup>12</sup> z szerokim pasem zieleni, która wznosi się równoległe do ul. Kadeckiej na tyłach zabudowy, dochodząc aż do końca równoległej ul. Herburtów, a potem bezpośrednio przy ulicy, tworząc niejako parkowe dojście do Parku Stryjskiego.

Powyżej alejki znajduje się ciąg kamienic zbudowanych w latach 1930. W jednej z nich, nr 5c, mieszkała rodzina Kilianów, wywieziona w nocy 13/14 kwietnia 1940 do Kazachstanu. Tam Janina Stanisławska-Kilianowa założyła polski teatr lalek „Niebieskie Migdały”<sup>13</sup>.

Poza pierwszym ciągiem kamienic odchodzi w lewo początek ul. Herburtów, a za nim m.in. kolejny ciąg pięciu wartościowych kamienic (nry 7, 9, 11, 11a), zbudowanych przez arch. Piotra Tarnawieckiego w późnych latach 20. XX w. w stylu między historyzmem a funkcjonalizmem. W jednej z tych kamienic mieszkała przez kilka lat rodzina twórcy. Ostatnia kamienica po tej stronie należała do rodziny Meissnerów.

Nieco powyżej do ul. Kadeckiej dochodził koniec ul. Herburtów (załamującej się pod kątem prostym). Ulica ta była zabudowana willami zamieszkałymi przez znanych obywateli miasta, m.in. prof. Bartła, b. premiera RP (wcześniej dom bar. Groedłów, właścicieli lasów karpackich), profesorów Kuryły i Jakóba, oraz innych rodzin inteligentnych: Mazzucato, Matzke, Boraków, Dylewskich. W tej ostatniej mieściła się przed wojną znana szkoła męska Kistryna. Ostatni zbudowany przed wojną dom przy ul. Herburtów – ponad ul. Kadecką – to luksusowa willa finansisty Finkelsteina.

Powyżej, aż do ul. Stryjskiej, nie ma zabudowy po lewej, poziomej stronie ul. Kadeckiej. Jest tu natomiast dość szeroki skwer o charakterze parku<sup>14</sup>, ciągnący się od końca ul. Herburtów.

Andrzej Chlipalski

<sup>1</sup> Po I wojnie znalazła się tam polska Szkoła Kadecka Józefa Piłsudskiego.

<sup>2</sup> Ścisłej od węzła ulic: Pełczyńskiej, Wuleckiej, Lenartowicza i Tomickiego, przy którym wcześniej zbudowano warsztaty tramwajowe z remizą.

<sup>3</sup> Do II wojny dyrektorem był inż. Rusin, którego jeden z synów zginął jako lotnik w Bitwie o Anglię.

<sup>4</sup> Inż. Schneigert osiadł po II wojnie w Zakopanem i tam projektował kolejkę linowe na potrzeby wielu miejscowości podgórskich w kraju. ►

## Ze wspomnień muzykologa

Andrzej Kobak

# *W czasach Straussa i Tetmajera Adolfa Chybińskiego*

Cóż za urocza książeczka!, chciało się wykrzyknąć. Porywająca frazą, bogactwem treści, niekiedy zaledwie ograniczonej do subtelnie zarysowanej sylwetki, oszczędnie podanego szczegółu, anegdota, kolażu drobiazgów. Opracowane przez Annę i Zygmunta Szwejkowskich memuary Adolfa Chybińskiego miały pierwotnie – zgodnie z zamysłem samego autora – zamknąć się w czterech tomach obejmujących okres od 1880 do 1945 r. (o czym informuje zresztą zwięźle wprowadzenie). Na skutek różnych okoliczności nie udało się jednak tego zamierzenia zrealizować. Opublikowany nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w 1959 r. jako tom VII *Źródeł pamiętnikarsko-literackich do dziejów muzyki polskiej*, wybór wspomnieniowych szkiców Chybińskiego liczy – można by z poczuciem autentycznego niedosytu westchnąć: zaledwie nieco ponad dwieście stron tekstu, inkrustowanego garścią ilustracji fotograficznych i malarskich (dodajmy, że całość została w pewien sposób „ocenzurowana”, zrezygnowano bowiem z fragmentów o charakterze bardziej osobistym, dokonano również skrócenia niektórych rozdziałów). Dodatkowym „bonusem” jest wieńczące wspomnienia pełne bibliograficzne zestawienie prac Chybińskiego.

Zanim jednak zaprezentujemy samą książkę, poświęćmy chwilę uwagi jej autorowi. Owo preludium, by posłużyć się – wydaje się, że usprawiedliwionym tematycznym kontekstem niniejszego szkicu – terminem muzycznym, jest zasadne nie tylko ze względu na formalną poprawność, naturalnie wprowadzającą czytelnika w sedno rozwa-

żań. Autor wspomnień był nie tylko wybitnym uczonym, obracającym się w intelektualnych kręgach Krakowa, Lwowa czy Zakopanego, którego jedynie warto przypomnieć. Zasługuje bowiem Chybiński na miano rzeczywistego prekursora, który na gruncie nauki polskiej należał, obok Zdzisława Jachimeckiego, do pionierów badań muzykologicznych rozumianych jako dyscyplina w ścisłym tego słowa znaczeniu akademicka.

Nasz bohater urodził się w Krakowie w 1880 r., tam też podjął – z czasem coraz bardziej systematyczną naukę z zakresu muzyki, między innymi u Jana Drozdowskiego. W latach 1898–1903 studiował pod kierunkiem profesorów: Kazimierza Morawskiego, Leona Sternbacha, Wilhelma Creizenacha filologię klasyczną i germanistykę. Następnie kontynuował edukację w Monachium, gdzie poza zgłębianiem zagadnień muzykologicznych, m.in. u Adolfa Sandbergera, słuchał wykładów z historii sztuki i filozofii. Doktoryzował się Chybiński w stolicy Bawarii w 1908 r., habilitację na Uniwersytecie Lwowskim uzyskał z kolei w roku 1912 w oparciu o studium *Teoria menzuralna w polskiej literaturze muzycznej pierwszej połowy XVI w.* W 1917 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym, cztery lata później uzyskał profesurę zwyczajną.

Tytułem dygresji zaszyfrować można jedynie, że podobnie przebiegała w tym samym czasie uniwersytecka kariera Zdzisława Jachimeckiego w Krakowie. Ten ostatni uzyskał habilitację w 1911 r. na podstawie pracy *Wpływy włoskie w muzyce polskiej*, zajęcia prowadził natomiast z teorii i historii muzyki, specjalizując się w wykładach monograficznych. Wzbogacenie wachlarza badań historycznych o wykłady i ćwiczenia praktyczne z historii muzyki i analizy wiodących zjawisk muzyki współczesnej, prowadzone przez Jachimeckiego wpisywały się w ogólny proces ówczesnych przemian dydaktycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, o czym wyczerpująco pisze profesor Maria Stinia w swojej książce *Uniwersytet Jagielloński w latach 1871–1914. Modernizacja procesu nauczania*.

Od roku 1913 aż do 1941 kierował Chybiński zakładem muzykologii na Uniwersytecie Lwowskim. Profesorował ponadto w lwowskim Konserwatorium (w latach 1916–1927). W roku 1945 został kierowni-

- ▶ <sup>5</sup> Mąż jednej z córek, p. Duniewski, był do II wojny dyrektorem uzdrowiska Lubień Wielki pod Lwowem, a w czasie wojny mieszkał w tej kamienicy.
- <sup>6</sup> Pani Jadwiga Zarugiewiczowa stała się symboliczną Matką Nieznanego Żołnierza, poległego w Obronie Lwowa, złożonego w 1925 r. pod arkadami pałacu Saskiego w Warszawie.
- <sup>7</sup> W czasie II wojny mieszkała tu też córka Danuta Chlipalska z dwoma synami (jej mąż znalazł się za granicą). Starszy syn to Andrzej Chlipalski, od 1995 do 2016 r. redaktor naczelny kwartalnika „Cracovia-Leopolis”.
- <sup>8</sup> Syn Piotr w późniejszych latach – konsul RP na różnych placówkach.
- <sup>9</sup> W latach powojennych syn Stanisław był znanym fotografikiem w Krakowie.
- <sup>10</sup> Dyrektorem domu sierot był Stanisław Chruściel. Jego syn Tadeusz, lekarz – profesor w Warszawie, był na przełomie XX/XXI w. prezesem Naczelnej Izby Lekarskiej RP, a zięć, też lwowianin, Zygmunt Ewy, profesorem fizjologii na UJ CM.
- <sup>11</sup> Zakład Wychowawczy fundacji Abrahamowiczów był internatem wraz ze szkołą dla młodzieży z ziem południowo-wschodnich, głównie ormiańskiej i ziemiańskiej.
- <sup>12</sup> Tu, wedle niezrealizowanych planów, miała dojechać do Kadeckiej ul. Obertyńska. Alejka okalała zarazem tzw. „Górki Pelczyńskie” od zach. i pn. Wzdłuż ostatniego odcinka ul. Kadeckiej i alejki, na terenie szerokiego tutaj pasa parkowego. Niemcy założyli cmentarz – Heldenfriedhof – dla żołnierzy, którzy zmarli w szpitalu wojskowym, założonym w budynkach Szkoły Kadeckiej.
- <sup>13</sup> Teatr ten, po powrocie rodziny z deportacji, funkcjonował jeszcze przez pewien okres w Warszawie.
- <sup>14</sup> Na terenie tego poziomego odcinka skweru, między jezdnią a alejką, Niemcy urządzili cmentarz – Heldenfriedhof – dla swoich żołnierzy, którzy ranni na froncie wschodnim zmarli w szpitalu wojskowym, założonym w Szkole Kadeckiej

kiem zakładu muzykologii na Uniwersytecie Poznańskim. Na stanowisku tym pozostał do swojej śmierci w 1952 r.

Wielką pasją Adolfa Chybińskiego przez całe życie były góry, szczególnie ukochał Tatry i poezję je opiewającą – strofy Kasprowicza i Tetmajera. Od 1914 r. związany był z Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. Żywo interesował się folklorem podhalańskim, przede wszystkim muzyką i instrumentami górskimi, warto przy tym wspomnieć, że uchodzi Chybiński za inicjatora naukowych prac etnomuzykologicznych w Polsce. Kolejną sferą jego zainteresowań i badawczych eksploracji były dzieje muzyki polskiej XVI–XVIII wieku (co także znajduje odzwierciedlenie na kartach wspomnień). Był Chybiński autorem prac o niemalże wszystkich znaczących kompozytorach staropolskich, opubli-

kował znaczną ilość inwentarzy muzykaliów i instrumentów z wieków XVI i XVII, o czym w haśle biograficznym poświęconym Chybińskiemu w *Encyklopedii Muzycznej PWM* rzetelnie informuje Zygmunt Szweykowski.

Pozostawał Chybiński uczonym niezwykle skrupulatnym, o szerokiej erudycji, poruszającym się swobodnie w penetrowanych przez siebie obszarach wiedzy. Jako pierwszy wydał *Słownik muzyków dawnej Polski*, obejmujący ponad 2400 nazwisk. Wnikliwie rejestrował zjawiska zachodzące we współczesnej sobie muzyce polskiej przełomu XIX i XX wieku. Dał się poznać jako zarliwy entuzjasta kompozytorów z grupy „Młodej Polski”, „odkrywca” twórczości Karola Szymanowskiego, wielbiciel, a z czasem rzetelny biograf Mieczysława Karłowicza. Interesował się osiągnięciami Grzegorza Fitelberga, Ludomira Różyckiego, Henryka Opieńskiego, czemu dawał wyraz w licznych artykułach i recenzjach.

Książka Adolfa Chybińskiego to swoisty „kalejdoskop wspomnień”, by zaczerpnąć z tytułu publikacji innego znakomitego humanisty związanego ze Lwowem, a urodzonego w Tarnopolu filologa klasycznego, eseisty i tłumacza Ignacego Wieniewskiego. Wraz z autorem przechadzamy się po jego krakowskim dzieciństwie, przyglądamy się portretom rodziców (przynajmniej, że z większą dozą sympatii pisze Chybiński o swojej matce niż o ojcu – właścicielu magazynu obuwia), dziadka – weterana powstania 1830 r., obserwujemy uliczny gwar, podwórkowych grajków, spotykamy Stanisława Wyspiańskiego, mijamy kościół Mariacki, bramę Floriańską. Wspomina Chybiński swoich nauczycieli muzyki, wyraźniej kreśli konterfekt wspomnianego już Jana Drozdowskiego, profesora gry fortepianowej w krakowskim konserwatorium, który „lubił knajpkowe życie”, pisze o pierwszych muzycznych fascynacjach, odkrywaniu Wagnera, Liszta, Griega. Opowiada o latach szkolnych, uniwersyteckich, studiach prawniczych (zgodnie z życzeniem ojca; nie odnajdując się jednak zupełnie w roli studenta tego kierunku, przeniósł się nasz bohater potajemnie na wydział filozoficzny), kolegach, bakcyli literatury pięknej. Napomyka o cyganerii skupionej wokół Stanisława Przybyszewskiego (którego spotka ponownie w Monachium), młodopolskiej atmosferze Krakowa.

Naturalnie nie zapomina o górach, jak sam notował: „a gdy ujrzałem Hałę Gąsienicową, gdy przeszedłem Zawrat, aby przez Dolinę Pięciu Stawów i Świstówkę podążyć do Morskiego Oka, gdy potem zrobiłem wycieczkę do Doliny Czarnosmreczyńskiej i na Krywań i gdy znalazłem się na Czerwonych Wierchach i Kasprowym, dusza moja poddała się Tatrom bez zastrzeżeń”.

Nie pomija Chybiński okresu edukacji monachijskiej, prezentuje sylwety niemieckich uczonych, w tym przywoływanego już wyżej muzykologa Adolfa Sandbergera. Był ponadto stałym bywalcem sal koncertowych, uczęszczał do galerii malarstwa i rzeźby, chłonał pełną piersią artystyczny klimat miasta – „Aten nad Izarą” we wszelkich jego przejawach. Istotnym wydarzeniem w życiu Adolfa Chybińskiego było – już po powrocie do kraju – poznanie Ryszarda Straussa podczas jego koncertu w Filharmonii Lwowskiej.

Nie bez szczypty – umiarkowanie jednak dawkowanego krytycyzmu opisuje autor perypetie związane z próbami objęcia posady nauczycielskiej w Krakowie, z przygotowaniem się do decydujących o tym egzaminów, czemu kres położył jednak ostatecznie niewystarczająco pochlebny stosunek do twórczości muzycznej Władysława Żeleńskiego (który notabene cieszył się wówczas w środowisku krakowskim wielką estymą).

Obszerne partie opracowanych przez Zygmunta i Annę Szweykowskiach wspomnień poświęcone są kolejnemu pobytowi Adolfa Chybińskiego w Monachium, tym razem już w towarzystwie żony, malarki Marii z Gawalkiewiczów (tam też mógł się nasz bohater po niepowodzeniach krakowskich całkowicie poświęcić studiom muzykologicznym). Rozpisuje się zatem autor na temat malarstwa niemieckiego i francuskiego – nadmieniamy o entuzjastycznym odbiorze płócien impresjonistów, wymieniamy ważnych dla siebie malarzy polskich, zachowując we wdzięcznej pamięci szczególnie postać „Bretończyka” Władysława Sławińskiego. Te akapity sprzyjają także przedstawieniu szerokiego spektrum ówczesnego życia muzycznego – monachijskiego, czy szerzej niemieckiego, wychodząc przy tym poza ramy pocztu uniwersyteckich pedagogów. Nie zapomina Chybiński naturalnie o muzyce francuskiej i skandynawskiej, która znajdowała w nim życzliwego odbiorcę



i komentatora (dowiemy się chociażby, jak wielkim przeżyciem dla naszego bohatera było spotkanie z Edvardem Griegiem). Na kartach raptularza powraca Chybiński do pierwszych spotkań z kompozytorami polskimi, Karłowiczem, Opieńskim, wspomina o czynnej także na monachijskiej niwie znakomitej klawesynistce Wandzie Landowskiej. Przewijając się co rusz nazwiska Mahlera, Brahmsa, Regera, Ravela, Straussa, Wagnera tworzą różnobarwny muzyczny witraż końca XIX i pierwszych lat XX w.

Kolejny rozdział książki zatytułowany *Lwów* dotyczy okresu, w którym Chybiński osiadł w grodzie nad Pełtwią, po powrocie z Niemiec w 1912 r. Objął wówczas lekcje harmonii, kontrapunktu i historii muzyki w szkole muzycznej Saby Kasperek, a po zatwierdzeniu docentury również wykłady na tamtejszym Uniwersytecie. Kreśląc sylwetki swoich lwowskich przyjaciół i znajomych przywołuje Chybiński postaci Kazimierza Twardowskiego, Ludwika Finkla, Władysława Witwickiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Jana Bożo Antoniewicza, Wilhelma Bruchnalskiego, Zygmunta Weyberga.

Ostatnie partie wspomnień poświęcone zostały pamięci dwu wielkich poetów, których nasz autor znał i których dorobek niezwykle cenił. Píše zatem o Janie Kasprzewiczu, o jego upodobaniu do choraków Bacha i oper Wagnera, zaraz potem szkicuje – miejscami melancholijny wizerunek Kazimierza Przerwy Tetmajera.

Całość wieńczy jeszcze krótka reminiscencja świąt wielkanocnych spędzonych na Podhalu, w góralskiej chacie, w której jak pisał Chybiński: „kilka jeszcze trzaśnień polan smrekowych i bukowych w białawym piecu, cichy zgrzyt ciepłem izby ogrzanego stołu staroświeckiego czy ławy pokornie pod piecem stojącej, kilkanaście oderwanych tonów góralskiej melodii z oddalonego gościńca zmieszanych z suchym turkotem wartko pędzących kół – i, wpatrzony w nisko nad Czerwonymi Wierchami zwieszającą się gwiazdę, zasnąłem”.

W jaki sposób zatem dopisać ostatni akord? Oddać sprawiedliwość lekturze, doceniając jej walor informacyjny, z tonami – elegijnym, żartobliwym, krytycznym? Jak skłonić do sięgnięcia po ową książeczkę, tak przecież skromną na pozór, pozwolić nieść się nurtowi spisanych w niej wspomnień? Jak umiejętnie ją zarekomendować?

By poznać kulturalny pejzaż Krakowa, Lwowa, Monachium przełomu XIX i XX stulecia, by przechadzając się niespiesznie uliczkami zwiedzanych miast spotkać Stanisława Wyspiańskiego, usłyszeć muzykę Liszta lub Karłowicza, by zapatrzeć się wreszcie w piękno i majestat Tatr, spędzić noc u ich podnóża, warto wziąć do ręki wspomnienia Adolfa Chybińskiego, warto się w nie uważnie wczytać i ufając autorowi, jego pamięci, artystycznej intuicji wybrać się wraz z nim w podróż do czasów Straussa i Tetmajera.

## Pod żółto-niebieską flagą

**dokończenie ze s. 19**

▶ otoczono cmentarz wspaniałym mauzoleum, mieszczącym szereg grobowców. Między innymi zbudowano pomnik lotników amerykańskich, którzy ochotniczo ofiarowali swój udział w obronie Lwowa i wielu z nich poległo. W najwyższym punkcie wzniesiono małą okrągłą kaplicę. Wnętrze pola cmentarnego wypełniły groby szeregowców i oficerów, wśród nich wielu nieznanymi żołnierzami. Porządkowały je i ozdabiały rodziny poległych, ale i mogiły bezimiennie nigdy nie pozostały w zaniedbaniu. Pamiętała o nich nie tylko Straż Mogił, troszczyła się o nie polska młodzież, zwłaszcza harcerze.

Spoczął też m.in. na Cmentarzu Orłąt 17-letni siostrzeniec Artura Hausnera, gimnazjalista Tadeusz Jaszcz, który w pierwszych dniach walk wymknął się z domu i wnet trafiony kulą w kręgosłup zmarł po miesiącu w okropnych mękach w szpitalu polowym. Matka jego Emilia przez 13 lat, do swej śmierci, chodziła w żałobie. Wraz z córką Stanisławą, żoną geografa, prof. Juliana Czyżewskiego, ufundowały Tadziewi pomnik z napisem:

*Cośmy miały najdroższego, złożyły to  
mogile,  
Pozostał żal, tęsknota, smutne życia chwile.*

(Fragment książki *Chleb dziennikarski ma smak rozmaity... Wspomnienia*, Wydawnictwo Biblioteki PAU I PAN w Krakowie, 2017 r.)

**Karolina Grodziska**

# Książka o niezwykłym Doktorze

**O** pokolenie młodszy od Tytusa Chałubińskiego, niewiele później rozpoczął swoją działalność wykraczającą daleko poza ramy przysięgi Hipokratesa. Działalność, która w znacznym stopniu wpłynęła na rozwój i popularność miejscowości wybranej przez niezwykłego lekarza jako pole codziennej pracy.

Mowa o Apolinarym Tarnawskim (1851–1943), absolwencie Uniwersytetu Jagiellońskiego, kilka lat pracującym we Lwowie i aktywnie działającym we lwowskim „Sokole”, następnie zaś – lekarzu powiatowym w kilku miejscowościach Galicji. Borszczów, Mielnica, Jaworów były etapami na drodze do Kosowa, gdzie podjął pracę w 1887 r. jako asystent sanitarny starostwa. I tak się zaczęła życiowa przygoda Tarnawskiego z Kosowem, porównywalna właśnie z lo-



sami Chałubińskiego, który w 1873 r. po raz pierwszy zjawił się w Zakopanem, by stać się niejako jego odkrywcą, orędownikiem i współtwórcą klimatycznego leczenia tamże, jak też szkolnictwa i życia naukowo-kulturalnego.

Na czym innym, oczywiście, zasadał się urok i walor Kosowa. Lwowska dziennikarka,



Willa Biała, kwiecień 2016 r.



Willa Główna, kwiecień 2016 r.

Michalina Grekowicz-Hausnerowa, pisząc po latach książeczkę o powiecie kosowskim (na podstawie materiałów Apolinarego Tarnawskiego i z pięknymi zdjęciami Mikołaja Seńkowskiego) podkreślała:

*Teren Kosowszczyzny, płaski na północy od strony powiatu nadworniańskiego i koto-myjskiego, podnosi się na południu od 400 do 1200 metrów nad poziom morza na połoninach i obejmuje wspaniałą partię Beskidów Wschodnich. Ostonięte ramionami gór kotliny pławią się w słońcu i pochwalic się mogą średnią ciepłotą roczną +9°C, czyli o półtora stopnia wyższą niż słynne z łagodnego klimatu Zaleszczyki. Urodzajna gleba kosowska sprzyja szczególnie rozwojowi sadów, które wieńczą chaty góralskie w dolinach obu Czeremoszów, Białego i Czarnego, Rybnicy i Pistynki. Szlachetne jabłonie i grusze rozrastają się tu do niebywałych rozmiarów i przekroczyć potrafią znacznie przeciętny wiek drzew owocowych, wydając przedudny plon do późnej starości. Słynne od dawna kosowskie sady zaopatrywały niegdyś stół*



*królewski w Warszawie. Udają się tu zwłaszcza jabłka, gruski, orzechy, czereśnie, a dojrzewają też winogrona, morele i brzoskwinie.*

Łagodny klimat, piękno krajobrazu, niezwykły urok miejscowej, huculskiej kultury, pociągającej zarówno zwykłego wczasowicza, jak i malarza, poetę czy etnografa... Wszystkie te czynniki przemówiły do doświadczonego już (także i w zakresie problematyki uzdrowiskowej) lekarza. Tarnawski otwiera w 1893 r. skromny początkowo zakład, obejmujący wówczas starą proboszczówkę i nową willę, zwaną „Główną”, mogące przyjąć kilkunastu pacjentów. To początek imponującego rozwoju późniejszego Zakładu Przyrodolecniczego.

W 1896 r. Tarnawski rezygnuje z rządowej posady i poświęca się wyłącznie Zakładowi, tworząc nowoczesną metodę przyrodolecniczą. Jej elementami, łączącymi się w harmonijną całość, są zabiegi hydropatyczne, gimnastyka, ćwiczenia oddechowe, kąpiele powietrzne i słoneczne, spacer, dieta jarska i głodówki. Elektryzująca

Popiersie doktora Apolinarego Tarnawskiego na terenie lecznicy



osobowość Tarnawskiego, wizjonera i wedyka, przyciąga setki pacjentów. W Zakładzie pracuje od wczesnej wiosny do późnej jesieni kilkadziesiąt osób: lekarze, terapeuci, instruktorzy, kucharze, ogrodnicy, sadownicy, furmani, pokojówki, posłańcy, stróże, kąpielowi, motorowy. Rosną kolejne wille: „Biała”, „Jasna”, „Teresa”, „Koliba”, „Dworek Wita”, „Celina”, „Ogrodowa”, „Domek Mazurski”. Okazale przedstawiają się Łazienki i hala gimnastyczna; jest też – kaplica.

Imponująco przedstawia się pobieżna choćby lista gości Zakładu, od elity literackiej i naukowej zaczynając (Gabriela Zapolska, Maria Dąbrowska, Juliusz Osterwa, Lucjan Rydel, Melchior Wańkowicz) na politykach kończąc (Ignacy Daszyński, Wojciech Korfanty, Władysław Grabski, Roman Dmowski i inni politycy endecy). Tu – łyżka dziegciu: zarówno w oficjalnym programie Zakładu, jak i w wielu wspomnieniach napotykamy wiadomości, że lecznica przeznaczona jest wyłącznie dla „chorych pochodzenia aryjskiego”. Zakład nie przyjmował Żydów, negatywna miejscowa legenda głosi, że *jeśli w Zakładzie pojawił się Żyd, którego nazwisko nie wskazywało na pochodzenie żydow-*

*skie, a został zdemaskowany, był brutalnie wyrzucany za uszy.*

Wojna przyniosła kres Zakładowi dra Tarnawskiego. Przez Kosów przebiegała droga ewakuacji rządu polskiego; 15 września miejscowość zajęło Ministerstwo Spraw Wojskowych, tu też dwa dni później zapadła bolesna decyzja o ewakuacji do Rumunii. Rodzina Tarnawskich ewakuowała się również. Czekala ich tułaczka, przez Rumunię i Cypr do – Jerozolimy. Dla ponad 90-letniego doktora Tarnawskiego był to kres drogi: zmarł jako uchodźca 2 kwietnia 1943 r. Syn – Wit Tarnawski – i córka Celina Busza-Tarnawska zamieszkali na uchodźstwie w Londynie, gdzie przez długie lata kultywowali tradycję i styl leczenia wypracowany przez ich ojca w Kosowie, publikując stałe felietony w emigracyjnym „Dzienniku Polskim” oraz książki, jak np. *Higiena życia codziennego według zasad stosowanych w lecznicy dr. A. Tarnawskiego w Kosowie* (Londyn 1984), *Kosowska kuchnia jarska* (Londyn 1985) czy *Mój ojciec* (Londyn 1966).

Dobrze się stało, że postać doktora Apolinarego Tarnawskiego i jego Zakładu Przyrodoleczniczego zyskały w roku ubiegłym – w 165. rocznicę urodzin lekarza – monograficzne opracowanie. Zawdzięczamy je Natalii Tarkowskiej, kulturoznawcy ze specjalizacją dziedzictwa narodowego i turystyki kulturowej. Autorka wykonała olbrzymią kwerendę archiwalną i źródłową w Polsce, Wielkiej Brytanii i na Ukrainie, także dokonując wywiadów z żyjącymi jeszcze osobami, pamiętającymi lecznicę, zebrała ogromną literaturę przedmiotu, zestawiając też dużą liczbę artykułów samego Tarnawskiego z zakresu przyrodolecznictwa i higieny. Zgromadziła niezwykle interesujący materiał ikonograficzny, w tym wykonane przez siebie fotografie, ilustrujące obecny, pozałowania godny, stan zabytkowej już architektury uzdrowiskowej kosowskiego zakładu. Książka, licząca 330 stron, ładnie wydana i bogato ilustrowana, ukazała się staraniem Scientia Plus w nakładzie 300 egz. Mając nadzieję, że dodruk lub drugie wydanie szybko okażą się potrzebne, serdecznie zachęcam do lektury książki Natalii Tarkowskiej pt. *Lecznicza rola Zakładu przyrodoleczniczego doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na Pokuciu (1893–1939)*.

# CZERWCOWE DNI LWOWA W TARNOWIE

W dniach 9 i 10 czerwca br. na zaproszenie tarnowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. uczestniczyliśmy w uroczystych obchodach Dni Lwowa w Tarnowie, organizowanych corocznie z dużym pietyzmem.

Każdorazowo jest inny, związany szczególnie ze Lwowem, ale również szerzej z Kresami Płd.-Wsch. temat wiodący wg precyzyjnie przygotowanego scenariusza.

Dla przypomnienia: w ub. roku (było to 10 i 11 czerwca) przewodnim zagadnieniem, uwzględniając wieloetniczność i wielokulturowość tych ziem był „Tygiel kresowy”. W związku z 650-leciem obecności Ormian w Polsce szczególnie ta tematyka dominowała. Przybliżono historię Ormian polskich, a także polsko-ormiańskich luminarzy.

W 1367 roku Król Kazimierz Wielki dał przyzwolenie Ormianom lwowskim na założenie biskupstwa i ten rok stał się umownie początkiem historii społeczności ormiańskiej w Polsce. Prelekcję wygłosił prof. Stanisław Sławomir Nicieja odbiegając nieco od głównego tematu. Wystąpienie swoje poszerzył o informacje dotyczące tworzenia niejako „sagi” miast kresowych II RP, w wydawanych kolejnych autorskich tomach *Kresowej Atlantydy*.

W tym roku uroczystość inauguracyjna odbyła się 9 czerwca, jak zwykle w reprezentacyjnej Sali Lustrzanej Urzędu Miasta Tarnowa. W związku z 200-leciem istnienia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich prelekcję na temat historii i działalności Zakładu wygłosiła pani Małgorzata Orzeł – przedstawicielka ZNiO we Wrocławiu, a zarazem kuratorka rękopisu epopei Adama Mickiewicza w otwartym w 2016 roku Muzeum „Pana Tadeusza” we Wrocławiu. Manuskrypt *Pana Tadeusza*, powierzony we wrześniu 1939 roku jako depozyt do Ossolineum przez Artura hr. Tarnowskiego, na mocy aktu notarialnego z 5 listopada 1999 roku, został

nabyty przez Gminę Wrocław i następnie przekazany na własność ZNiO.

Prelegentka poinformowała też, że 200-lecie ZNiO stało się asumptem do zorganizowania we Wrocławiu wystawy i wydania starannie opracowanego *Informatora* ze słowem wstępnym obecnego dyrektora dr. Adolfa Juzwenki: *Ossolineum. 200 lat z narodem szukającym drogi do niepodległości*.

Założyciel Ossolineum Józef Maksymilian Ossoliński tworząc fundację – rodzinne ustanowienie Biblioteki Publicznej miał na celu (cyt.): *Pragnąłem jedynie zrobić przysługę mojej Ojczyźnie, rozciągając jej użyteczność do najdalszych pokoleń. Jeżeli nadając temu dziełu istnienie, nadałem i trwałość, celu moich zamiarów dopiąłem. Mogę rzec za Horacym: „Exegi monumentum aere perennius” („Wzniósłem pomnik nad spż trwalszy”).*

Po prelekcji, program poetycko-wokalny, przygotowany pod kierunkiem nauczycieli, kontynuowali uczniowie Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 5 – Gimnazjum nr 1 i Zespołu Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych w Tarnowie, którzy w treściwych tekstach wypunktowali chronologicznie historię Ossolineum, a także m.in. przypominając znaną ongiś piosenkę: *książka w życiu pomaga, z książki płynie odwaga...* podkreślili aspekt wartości płynących z książek. Prof. Stanisław Łempicki pisał: *Do Ossolineum zbiegły się wszystkie myśli polskich pracowników naukowych i młodzieży. To tu był warsztat pracy nad podtrzymaniem chwiejącego się na wietrze płomienia polskiej kultury, oświaty, nauki i nad wytwarzaniem nowych wartości w tych dziedzinach. Tutaj była świątynia książki polskiej.* Na zakończenie dużo wesołości dostarczyli uczniowie Szkoły Podstawowej im. Orłąt Lwowskich w Brzoźówce. Dziewczynki i chłopcy wystylizowani na „lata przedwojenne” zaśpiewali piosenki lwowskiego „przedwojnia”. Całkowity brak tremy i swo-

boda, z jaką się zaprezentowali, oczarował słuchaczy.

Z wyrazami uznania, satysfakcją i nadzieją odnotowujemy tak liczny udział dzieci i młodzieży pięknie prowadzonej przez swoich nauczycieli, którzy zaszczepiają wśród młodego pokolenia ciekawość, zainteresowanie, a może też i miłość do Lwowa i Kresów. Wielkie brawa!!

Obchody Dni Lwowa w sobotę 10 czerwca zaczęły się mszą św. w intencji członków tarnowskiego Oddziału TML i KPW w archaicznym drewnianym kościele pw. M.B. Szkaplerznej na Burku, znanym z Sanktuarium Patronki, tygodniowego lipcowego odpustu oraz z obchodzonych tu licznych uroczystości patriotycznych.

Po mszy św. uczestnicy przeszli na pobliski Cmentarz Stary, gdzie tuż za bramą znajduje się „Lwowski Kurhan”. Po okolicznościowych przemówieniach i modlitwie złożono kwiaty i zapalono znicze, oddając hołd Ofiarom II wojny światowej ze Lwowa i Kresów Wschodnich.

Następnie goście – w tym przedstawiciele polskich stowarzyszeń i szkół ze Lwowa – oraz członkowie Oddziału TML i KPW zostali zaproszeni do tarnowskiej Szkoły Podstawowej nr 9 im. Orłąt Lwowskich.

Tutaj zgromadzeni mieli możliwość zapoznać się z Lwowską Izłą Pamięci, a także z rozlokowanymi na korytarzach szkolnych planszami przedstawiającymi historię obrony Lwowa w 1918 roku i bohaterski w niej udział lwowskiej młodzieży.

A oto kilka cytatów spisanych z wyeksponowanych plansz:

„...dzieci nauczą siwych o tym, że ze śmierci ofiarnej najbujniejsze wyrasta życie”

„Na te groby (red.: Orłąt Lwowskich na Cmentarzu Łyczakowskim) powinni przychodzić pielgrzymi, by się uczyć miłości do Ojczyzny” (Kornel Makuszyński).

„Powinni tu przychodzić ludzie małej wiary, aby się napelić wiarą niezłomną, ludzie miłkiego ducha, aby się nauczyć bohaterstwa”.

Po podziękowaniach za gościnę (również doznania kulinarne) i słowach uznania dla Organizatorów Dni Lwowa nastąpił czas rozstania i pożegnań.

Może do zobaczenia... w przyszłym roku w 100-lecie odzyskania przez Polskę Niepodległości.

Godne podkreślenia jest to, że tarnowski oddział TMLiKP-W na zorganizowanie Uroczystości otrzymał dotację z budżetu miasta Tarnowa, Starostwa Powiatowego w Tarnowie oraz rzeczową pomoc z Gminy Tarnów. Jest to dowodem żywego zainteresowania wymienionych władz samorządowych i zapewne świadomości, że Kresy Wschodnie II RP na czele ze Lwowem wpięły się w dzieje narodu polskiego, niezłomnie świadcząc, że bez zachowania pamięci o tej Utraconej Ziemi nie ma historii Polski.



Kurhan w hołdzie ofiarom II wojny światowej ze Lwowa i Kresów Wschodnich na Cmentarzu Starym w Tarnowie. Kwiaty składa autorka artykułu, fot. Teresa Dutkiewicz

# W Krakowie i dalej

## XXXI Zjazd Tarnopolan w Krakowie

Regularnie relacjonujemy w „Cracovia-Leopolis” kolejne zjazdy tarnopolskie. W tym roku XXXI już Zjazd Koleżeński Byłych Mieszkańców Ziemi Tarnopolskiej miał miejsce w dniach od 6 do 9 czerwca w Krakowie. Uczestnicy Zjazdu, którzy, nie licząc miejscowych, w liczbie ok. 50 osób zjechali do Krakowa z całej Polski, zostali zakwaterowani w hotelu studenckim „Żaczek” w centrum miasta. Hotel świeżo po remoncie, na miejscu stołówka. Jedynym mankamentem było to, że nie byliśmy tam sami, ale specjalnie to nie przeszkadzało.

Organizatorzy Zjazdu, młode małżeństwo Milena i Adam Wilczyńscy (co należy podkreślić, jako że większość środowisk kresowych narzeka, że młodzi nie garną się do działalności na rzecz stowarzyszeń zajmujących się Kresami), starali się pozyskać znanych prelegentów i tak ułożyli program, żeby był ciekawy dla wszystkich.

Nie będziemy tu streszczać poszczególnych wystąpień, bo te najciekawsze zostaną opublikowane w „Cracovia-Leopolis”, a także na stronie [www.tarnopolanie.pl](http://www.tarnopolanie.pl). Nadmienię tylko, że wśród prelegentów byli: burmistrz Brzegu – Jerzy Wrębiak, który przedstawił projekt utworzenia w tym mieście Muzeum Kresów, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski mówił o dziedzictwie Kresów, filmie „Wołyn” oraz Akcji Wisła, Bogumił Grott – o potrzebie powołania naukowego Instytutu Kresowego. Krzesimir Dębski – kompozytor i autor książki *Nic nie jest w porządku*, analizował relacje polsko-ukraińskie i mówił, że ze względu na przyszłość nie można zapominać o strasznym ludobójstwie na Kresach w przeszłości. Lucyna Kulińska zastanawiała się, czy Polacy skazani są na powtarzanie błędów w stosunkach z Ukraiń-

cami, ks. prof. Józef Wolczański analizował postawę i działania w XX wieku Kościoła rzymskokatolickiego i Cerkwi grekokatolickiej wobec ludobójstwa dokonywanego na Polakach. Wystąpił też Jerzy Kapłon z Krakowa, który przedstawił początki działalności PTTK w II Rzeczypospolitej. I tu zaskoczenie, bo nawet nie wszyscy Tarnopolanie wiedzieli, że pierwsze koła PTTK powstały właśnie na ziemi tarnopolskiej! Ostatnim prelegentem był Daniel Jan Potocki, który mówił o działającym na Kresach Związku Szlachty Zagrodowej.

Oprócz prelekcji w programie było też zwiedzanie Krakowa, szczególnie nowych, ważnych miejsc na jego mapie. Zwiedziliśmy więc Centrum Jana Pawła II „Nie lękajcie się”. Tam też uczestniczyliśmy w tradycyjnej mszy św. koncelebrowanej przez naszego ks. Andrzeja Maliga z Tarnopola, ks. Andrzeja Targosza z diecezji żywieckiej i jego dawnego wikariusza (obecnie pracującego w Wiedniu) w intencji Tarnopolan, którzy zmarli od czasu poprzedniego Zjazdu, w intencji uczestników Zjazdu, a także rodaków mieszkających na Tarnopolszczyźnie. Zwiedziliśmy też sąsiadujące z Centrum Jana Pawła II Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, a następnie udaliśmy się do Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa „Nila”, jedynej tego rodzaju instytucji w Polsce upowszechniającej wiedzę o Polskim Państwie Podziemnym i jego siłach zbrojnych. To niezwykle ważne i bardzo ciekawe muzeum, więc mimo zmęczenia wszyscy z zainteresowaniem obejrzelizy zgromadzone tam ekspozycje. Z miejsc „starych” obejrzelizy też zbiory Muzeum Czartoryskich i Podziemia Rynku (te ostatnie stare, bo średniowieczne, ale na nowo odkryte w 2010 r.). Z racji uroczystości kościelnych nie udało nam się, mimo że planowaliśmy, zwiedzić Katedry, Krypt i Muzeum Katedralnego.

Dla nas, Tarnopolan, bardzo ważna była możliwość wystąpienia prelekcji i obejrzenia wystawy „Archiwum Tarnopolskie rodziny Blicharskich”, która specjalnie dla nas została zorganizowana w Biurze Edukacji Narodowej IPN. Dzieło swojego ojca Czesława Blicharskiego kontynuuje jego córka Bożena, która nie mogła przyszechać na Zjazd, żeby nam o tym opowiedzieć.

Jeszcze jedną atrakcją integrującą Tarnopolan, szczególnie tych, którzy po raz

pierwszy przyjechali na zjazd, była biesiada kresowa, czyli wspólne śpiewanie kresowych (i nie tylko) piosenek przy ochoczym przewodnictwie i akompaniamentcie skrzypcowym Romy Krzemień (Promyki Krakowa) i Jurka Bożyka (Iwowianin) na harmonii. Bractwo tak się rozochociło, że ruszono w tany, a reakcja studentów, którzy tylko wpadli do klubu, była taka, że wkrótce niektórzy z nich porwali dużo starsze tarnopolanki do tańca.

Ostatni dzień Zjazdu to tradycyjnie podsumowanie i wybranie komitetu organizacyjnego następnego Zjazdu. Tutaj wszyscy byli zgodni – w Nysie jeszcze nie wszystko poznaliśmy, środowisko kresowe liczne, a do tego ta nasza wspaniała organizatorka – Jasia Stadnik w tandemie ze swoim mężem Antosiem – więc w 2018 r. drodzy Kresowianie spotykamy się w czerwcu w Nysie. A dlaczego piszę Kresowianie, a nie Tarnopolanie – bo uchwałą XXXI Zjazdu zmieniliśmy nazwę naszych zjazdów na Tarnopolskie Zjazdy Kresowe, czyli zachęcamy do udziału w nich wszystkich Kresowian, nie tylko tych z ziemi tarnopolskiej. To tylko jedna, najmniej ważna ze zjazdowych uchwał. Pozostałe były dużo ważniejsze. I tak dwie uchwały tej samej treści skierowane – jedna do Marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego, a druga do Marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego:

*W dniach 6–9 czerwca 2017 r. odbył się w Krakowie XXXI Zjazd Tarnopolan, w którym wzięli udział członkowie Rodzin Kresowych mających korzenie na ziemi tarnopolskiej.*

*Uczestnicy Zjazdu jednomyślnie, zdecydowanie domagają się uchwalenia przez Sejm/Senat Rzeczypospolitej Polski ustawy zabraniającej w Polsce propagowania zbrodniczej ideologii banderyzmu.*

Następna uchwała została skierowana do Piotra Glińskiego – Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Początek jak wyżej, treść:

*Uczestnicy Zjazdu jednogłośnie, zdecydowanie domagają się wsparcia przez Ministerstwo inicjatywy utworzenia Muzeum Kresów w Brzegu na Opolszczyźnie.*

I jeszcze dwie uchwały – apele skierowane do wszystkich organizacji i środowisk kresowych:

1. O wsparcie idei powołania Instytutu Dziedzictwa i Kultury Kresów.
2. O wsparcie inicjatywy utworzenia Muzeum Kresów w Brzegu na Opolszczyźnie.

Anna Madej  
i Czesław Wilczyński  
Klub Tarnopolan w Krakowie

## Odświeżenie makiety przedwojennego kościoła parafialnego w Tarnopolu

10 września 2017 r. odbyła się w Tarnopolu uroczystość odświeżenia i poświęcenia makiety przedwojennego kościoła parafialnego pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Kościół ten, budowany w latach 1903–1908 staraniem ówczesnego proboszcza i dziekana tarnopolskiego ks. infułata Bolesława Twardowskiego, według projektu architekta Teodora Talowskiego, został konsekrowany w 1933 r. przez ks. Bolesława Twardowskiego, wtedy już arcybiskupa lwowskiego.

W czasie swojej niespełna pięćdziesięcioletniej historii był dwukrotnie poważnie uszkodzony (w 1917 r. i w 1944 r.), ale potem odbudowywany. Niestety nie dane mu było przetrwać. W 1954 r. sowieckie władze wysadziły go w powietrze, a na jego miejscu postawiły „uniwiermag”, czyli dom towarowy.

Polskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe w Tarnopolu i jego prezes p. Piotr Fryz od kilku lat czynili starania, aby na gmachu „uniwiermagu” umieścić choćby tablicę informacyjną, że w tym miejscu stał kiedyś kościół parafialny. No i udało się! Nie tablica, a piękna makieta kościoła stanęła naprzeciw dawnego głównego wejścia do świątyni. W uroczystości wzięli udział wice-mer i inni przedstawiciele władz Tarnopola. Przemówienia były bardzo wzruszające, a najbardziej chyba p. Iriny Maksymiwi, Ukrainki i grekokatoliczki, która była świadkiem zbrodni (tak to nazwała) wysadzenia kościoła przez sowietów. W tradycji przedwojennych mieszkańców Tarnopola (niezależnie od wyznania) było odwiedzanie tarnopol-



skich świętyń. Rodzice prowadzili tam swe dzieci, dziadkowie wędrowali z wnukami. I tak dzięki swojej babci pani Irina bywała też w kościele parafialnym. Do dzisiaj pamięta piękne posadzki, wyposażenie kościoła i wspaniałe organy. O okropności tej zbrodni świadczy wyznanie p. Iriny, że nie potrafiła i nigdy nie przekroczyła progów „uniwiermagu”.

Równo w sto lat po wybudowaniu kościoła parafialnego, w 2008 r., miała miejsce konsekracja nowego kościoła parafialnego [przy ul. Bandery, sic!], też pod wezwaniem MBNP, ale też i Miłosierdzia Bożego.

Nagranie z uroczystości dostępne jest pod adresem: <https://www.youtube.com/watch?v=62A2v3xEsJ4>.

Anna Madej

## Rocznica katastrofy gibraltarskiej

3 lipca 2017 r., w przeddzień 74. rocznicy katastrofy gibraltarskiej, z inicjatywy Związku Sybiraków O. Kraków, w katedrze wawelskiej przy konfesji św. Stanisława odprawiona została msza św. za duszę gen. Władysława Sikorskiego i wszystkie towarzyszące mu ofiary katastrofy. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył i homilię wygłosił ks. prof. Jacek Urban, a współuczestniczył w celebrze o. Jerzy Pająk, kapelan Związku Sybiraków i organizacji kombatanckich w Krakowie. Na nabożeństwo przybyli krakowscy Sybiracy oraz przedstawiciele wielu krakowskich instytucji i organizacji, w tym reprezentanci Prezydenta Miasta Krakowa i Wojewody Małopolskiego, Kombatanci z AK, harcerze ZHP z Krzęcina koło Skawiny, redaktor naczelny kwartalnika „Cracovia-Leopolis”, prezes Rodziny Katyńskiej, przedstawiciel IPN i inni. Przy ołtarzu stały dwa poczty sztandarowe: Związku Sybiraków i Batalionów Chłopskich. Homilia w czasie mszy św. nawiązywała do zasług gen. Sikorskiego i jego tragicznej śmierci.

Po nabożeństwie, w pochodzie z księżmi i pocztami sztandarowymi na czele, wszyscy udali się do podziemi katedry, gdzie w krypcie św. Leonarda miała miejsce druga część skromnej uroczystości. Po modlitwie za duszę gen. Sikorskiego i towarzyszących

mu osób, o zasługach generała przypomniał o. Jerzy Pająk oraz Aleksandra Szemieth, prezes Związku Sybiraków.

Na sarkofagu złożono wiązanek kwiatów od Związku Sybiraków. Kolejne wiązanek złożyli: w imieniu Wojewody Małopolskiego p. Marcin Tatała, w imieniu Prezydenta Miasta p. dyr. Agnieszka Staniszevska-Mól, w imieniu IPN p. Anna Czachor. Kwiaty od innych uczestników uroczystości przykryły cały sarkofag. W taki symboliczny sposób oddano hołd dobrodziejowi tysięcy Sybiraków z czasów drugiej wojny światowej.

DTS

## Książki czasopisma

### Pamięć o budowniczych

Historia zachowuje imiona niewielu ludzi, którzy tworzyli miasto. Lwów pamięta o swoich budowniczych, zachowując ich podpisy na drzwiach, płytkach na klatkach schodo-





wych, witrażach, a także na studzienkach kanalizacyjnych, kratkach, oknach. Nazwiska artystów, przedsiębiorców można znaleźć na nich jako swego rodzaju znak jakości. Twórca pozostawia swój znak firmowy. Na Kamienicy Królewskiej w Ryнку (pałacu Korniakta) widnieje podpis budowniczego Piotra Barbona z datą zakończenia prac 27 kwietnia 1580 roku. W XVIII i XIX wieku podpisywali swe prace rzeźbiarze – Witwer i Schimserowie.

W XIX i XX wieku powstawały nowe technologie. Drewniane podłogi zastąpiono płytkami, początkowo importowanymi z Wielkiej Brytanii i Niemiec. Wkrótce pojawiły się miejscowe zakłady – fabryki Lewińskiego, Zachariewicza i Damaszewicza. W 1890 roku było już blisko 50 zakładów produkujących płytki – często o wyszukanej formie. Tworzono kompozycje – tzw. płytkowe kilimy do układania na ścianach lub podłodze. Zachowało się we Lwowie ponad tysiąc różnych wzorów płytek, można je oglądać w bramach i na klatkach schodowych wielu budynków.

Jednym z najlepszych przedsiębiorstw w Galicji produkujących płytki była firma „Bracia Mund – zakład przemysłowy i wytwórnia materiałów budowlanych”, założona w 1898 roku przy ulicy Sykstuskiej 23. Maurycy Mund zajmował się działalnością społeczną w organizacjach żydowskich. Produkowane przez nich płytki oznaczano „Bracia Mund Lwów”. Dekorowano nimi bu-

dynki mieszkalne i użyteczności publicznej. W budynku przy ulicy Kurwasa 5, nazwanym lwowskim Majolika Haus, elewacja i klatka schodowa zostały pokryte płytkami z firmy braci Mund.

Produkcją płytek, ale też materiałów licowych i elementów metalowych do pieców zajmowały się liczne firmy lwowskie i lwowsko-krakowskie. Firma G. Zuliani z filią w Stanisławowie, Czerniowcach i Krakowie wykonywała posadzki z marmuru. Włoch Zuliani został aktywnym członkiem Towarzystwa Strzeleckiego – Bractwa Kurkowego. Został współwykonawcą prac ziemnych pod budowę Opery Lwowskiej. Na granitowym postumencie pomnika Mickiewicza można odczytać podpis Leopolda Schimsera.

Już od XVII wieku stosowano we Lwowie do prac wykończeniowych marmur i alabaster z Żurawna. Zastosowano je w Kaplicy Boimów. W 1922 roku powstała „Kopalnia alabastru i fabryka wyrobów alabastrowych Książąt Czartoryskich – Żurawno”.

W końcu XIX wieku działały we Lwowie firmy, które wykonywały witraże do budynków prywatnych, czynszowych czy użyteczności publicznej. Sprowadzano też witraże z Krakowa, Wiednia, Monachium i Tyrolu. Stosowano szkło trawione. Zdobiono nimi klatki schodowe, witraży, drzwi wejściowe. Liczne lwowskie witraże wykonywane były w krakowskiej firmie S.G. Żeleńskiego według projektów Wyspiańskiego, Bukowskiego, Uziembły, S. Matejki, Rozena i innych.

Liczne przedsiębiorstwa galicyjskie produkowały urządzenia fabryczne i miejskie, znacząc je nazwą firmową, jak Ferrum – fabryka maszyn, odlewnia żelaza i stali. Do dziś można oglądać okrągłe pokrycia studzienek czy kratki kanalizacyjne z napisem „Ferrum Lwów”. Niektóre gotowe wyroby przywożono z różnych miast Polski.

W zakończeniu autorki tej ciekawej pracy piszą, że *do dziś dźwięczą niedopowiedziane słowa i niedośpiewane melodie minionych wieków.*

... Niedopowiedziane słowa...

Marta Walczewska

K. Borodin, J. Honak *Lwów po polsku. Znak jakości*, Lwów 2015

I strona okładki:

### **Dworzec kolejowy w Tarnopolu**

W 1866 r. wiedeńska „Eisenbahn Centralblatt” poinformowała o powstaniu spółki (hr. Władysław Sanguszko, hr. Alfred Potocki i Włodzimierz Borkowski), której celem była budowa linii kolejowej ze Lwowa do Brodów z odgałęzieniem do Tarnopola, a już w grudniu 1870 r. do Tarnopola przyjechał pierwszy pociąg. W roku 1871 otwarto linię kolei Karola Ludwika do granicy państwowej w Podwoleczyskach, w 1885 do Brzeżan, a w 1906 do Zbaraża. Budynek dworcowy widoczny na okładce zaczęto budować jesienią 1903 r., a oficjalnie otwarto w sierpniu 1906 r. „Głos Polski” z 11 sierpnia 1906 r. donosi: „Budynek stacyjny składa się z trzech części: dwóch skrzydeł i części środkowej, w której mieści się obszerny westybul dochodzący do wysokości II piętra. Budynek posiada własne centralne ogrzewanie, które bardzo dobrze funkcjonuje, wodociągi wykonane (...) przez krakowską firmę Zieleniewskiego. Prowizorycznie oświetlono dworzec kolejowy elektrycznym światłem (...). Front budynku (...) wyposażony jest w olbrzymie okno o powierzchni 65 m<sup>2</sup> o szybach lustrzanych i żelaznej konstrukcji, wykonanej przez tutejszą firmę Rogowski-Głowiński-Aseńko (...). Projekt budynku w stylu wiedeńskiej secesji wykonano w biurach technicznych ministerstwa kolei pod kierunkiem st. radcy Baudischa”. W czasie I wojny światowej budynek uległ zniszczeniu, ale został odbudowany. Ponownie zniszczony w 1944 r. Do obecnej formy przebudowany w 1952 r. Ostatnie prace modernizacyjne przeprowadzono w latach 1999–2000.

(według C. Blicharskiego – *Miscellanea tarnopolskie*, tom 1)

---

## **NASI OFIARODAWCY**

Tadeusz Tomasiuk – Dokudów, Anna Wnukowa – Gliwice, Jerzy Wolańczyk – Rokietnica, Kazimiera Paćławska – Kraków, Jan Szajner – Wrocław, Stanisław Wierzoń – Opole, Andrzej Jełowicki – Krosno, Maria Sajdak – Lubusza, Zofia Dudrówna – Kraków, Teresa Musiała – Tychy, Małgorzata Nowak – Warszawa, Hanna Krzysztoforska – Tarnów, Józef Lassota – Kraków, Lucyna Twardowska – Kraków, Zofia Krawczyk – Kraków

---

**Wydawca:**

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

**Prezes Zarządu:**

Adam Guyrkovich

---

**Redaguje zespół:**

Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Andrzej Chlipalski (redaktor honorowy),

Janusz M. Paluch (redaktor naczelny) – tel. 608155693, mail: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com)

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

<b>Okładka</b>			
<b>DWORZEC W TARNOPOLU</b>		<b>Poezja</b>	
		<b>I</b>	
<b>Słowo od redakcji</b>		<b>Tadeusz Śliwiak</b>	
<b>W JESIENNEJ ZADUMIE...</b>		<b>LWÓW ♦ MÓJ LWÓW ♦ LWOWSKIE</b>	
		<b>ZADUSZKI ♦ ANTYGONA WOŁYŃSKA</b>	<b>48</b>
		<b>II</b>	
<b>Tadeusz Krzyżewski</b>		<b>Beata Bednarz</b>	
<b>DLA PROPAGANDY POLSKIEGO LWOWA</b>	<b>1</b>	<b>PANIE KRESOWYCH SIEDZIB</b>	<b>49</b>
<b>Jerzy Wrebiak</b>		<b>Słownik nazw ulic</b>	
<b>UTWÓRZMY W BRZEGU MUZEUM</b>		<b>i mieszkańców Lwowa</b>	
<b>DZIEDZICTWA I KULTURY KRESÓW</b>	<b>5</b>	<b>Andrzej Chlipalski</b>	
<b>Prof. dr hab. Bogumił Grott</b>		<b>ULICA KADECKA</b>	<b>50</b>
<b>KRESY WOŁAJĄ O PAMIĘĆ!</b>	<b>8</b>		
<b>Jerzy Kapłon</b>		<b>Ze wspomnień muzykologa</b>	
<b>PODOLSKIE TOWARZYSTWO</b>		<b>Andrzej Kobak</b>	
<b>TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE</b>	<b>11</b>	<b>W CZASACH STRAUSSA I TETMAJERA</b>	
		<b>ADOLFA CHYBIŃSKIEGO</b>	<b>52</b>
<b>Michalina Grekowicz-Hausnerowa</b>		<b>Karolina Grodziska</b>	
<b>POD ŻÓŁTO-NIEBIESKĄ FLAGĄ</b>	<b>16</b>	<b>KSIĄŻKA O NIEZWYKŁYM DOKTORZE</b>	<b>56</b>
<b>Rozmowy</b>			
<b>Zbigniew Wawaszczak</b>		<b>Krystyna Stafińska</b>	
<b>ROZMOWA Z EMILIĄ KLUK</b>	<b>20</b>	<b>CZERWCOWE DNI LWOWA W TARNOWIE</b>	<b>59</b>
<b>Natalia Tarkowska</b>		<b>W Krakowie i dalej</b>	
<b>ROZMOWA Z MARIĄ KORZINEK</b>	<b>46</b>	<b>XXXI ZJAZD TARNOPOLAN W KRAKOWIE</b>	<b>61</b>
<b>Sławomir Gowin</b>		<b>ODSŁONIĘCIE MAKIETY PRZEDWOJENNEGO</b>	
<b>SZKATUŁKA NA SERCE</b>	<b>30</b>	<b>KOŚCIOŁA PARAFIALNEGO W TARNOPOLU</b>	<b>62</b>
<b>Karolina Grodziska</b>		<b>ROZMOWA Z MARIĄ KONOPNICKIEJ</b>	
<b>POPZEDNICZKA MARIII KONOPNICKIEJ</b>	<b>36</b>	<b>ROCZNICA KATASTROFY GIBALTARSKIEJ</b>	<b>63</b>
<b>Tomasz Wasilewski</b>		<b>Książki ♦ Czasopisma</b>	
<b>ZEGAR – PRZEZNACZENIE (2)</b>	<b>39</b>	<b>PAMIĘĆ O BUDOWNICZYCH</b>	<b>63</b>